Cena 8 zł

ŚWIETLICA KRAKOWSKA

dwutygodnik

Egzemplarz bezpłatny C

Nr. 15 | Kraków, 1 sierpnia 1946 r. | Rok II



WITOLD ZECHENTER

Ziemi

Niezwykły podniebnych strzemion,
poeta niskiego lotu,
jestem ci bliższy, o ziemio,
piaskom twym, głazom i błotu.

Gdy trudem więzisz me kroki
zabłąkane w bruzdach kolein,
odczuwam szept twój i mroki
i sny wiosennej nadziei

Burze nad tobą i klęski
pogięły wielkich drzew szczyty,
lecz rośnie zawsze zwycięski
krzak w polne róże spowity

I dla mnie, gdy błądzę nisko
plącząc się w kolce i piaski,
masz znane i proste wszystko —
i cienie twoje i blaski.

I kiedy wreszcie się potknę,
nie runę ze szczytów w otchłań,
przyjmą mnie ręce twe słodkie
w piaski i głazy i błota.

Żniwa w pełni

Na podstawie napływających meldunków z całego kraju można się zorientować, że należy się spodziewać [illegible] większych zbiorów zbóż chlebowych niż w roku ubiegłym. Żniwa są w całej pełni. Zbiór podstawowego zboża — żyta — częstokroć został zakończony.

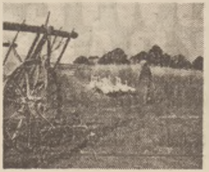
Przed wojną w mieście mało kto zwracał uwagę na żniwa. Uważano je za sprawę czysto chłopską. Czynniki zaś rządowe martwiły się, jeśli zachodziła obawa, że zbiory przewyższą zapotrzebowanie rynku wewnętrznego. Zresztą nie była to specyficzna choroba sanacji, tymi samymi „troskami" żyła Argentyna, USA czy Holandia.

W Argentynie palono kawę i topiono w morzu tysiące ton pszenicy, w Holandii zakopywano mięso z tysięcy krów, by nie dopuścić do zniżki cen, a w konsekwencji do nieopłacalności gospodarki rolnej. A zarazem w dobie nadprodukcji rolnej tysiące i miliony ludzi głodowało i nadaremnie błagało o jakiś system zaopatrzenia w żywność.

Tak było także w Polsce. Łączyło się to ściśle z ustrojem wyzysku ekonomicznego, w którym chłop produkował pszenicę, a nie jadał bułek, wypasał świnie, a mięso jadał dwa razy do roku. Porównanie takie można sprowadzić tak samo do wytwórców z innych gałęzi produkcji.

W nowym ustroju każde wzmożenie produkcji — węgla, stali, zboża jest wielkim aktem państwowym. Wynika to z tego, że państwo rzetelnie zajęło się troskami obywateli, które przecież nie były i nie są inne jak te — by było coraz lepiej. Przecież program ludowy to nic więcej, jak walka o wyższy standart życiowy dla ludu, głodnego dotąd i obdartego.

Stąd wypływa nasza radość z wielkich sukcesów akcji żniwnej. Znaczy się — nie będziemy głodować... Wprawdzie rząd nasz musiał widocznie przewidywać poprawienie się sytuacji aprowizacyjnej, kiedy zdecydował się na zniesienie świadczeń rzeczowych i zastąpienie ich nowym systemem wymiany towarów między wsią a miastem — ale dopiero żniwa są widomym znakiem, że troski o chleb dla człowieka kończą się. Nie łudzimy się, że zbiory będą tak wysokie jak przed wojną. Nie zdołaliśmy przecież całkowicie obsiać Ziem Odzyskanych, a w województwach centralnych często trzeba było niezasiane jesienią pola obsiać zbożami jarymi. Trzeba jednak wziąć pod uwagę fakty, że ilość mieszkańców Polski zmniejszyła się i stosunek między człowiekiem, a obszarem zasianym jest o wiele korzystniejszy dla człowieka, niż przed wojną. Obszar państwa zmniejszył się zaledwie o 15%, ludności zaś mamy mniej o ok. 30%. Czy obiecywać ktoś chce, że nastają już przedwojenne warunki aprowizacyjne? Nie. Twierdzimy tylko, że chleb będzie dostępny dla każdego człowieka pracy, że przestanie być przedmiotem spekulacji, czy luksusu.



Świadczenia rzeczowe zostały zniesione. Jak będzie zaopatrywany teraz w podstawowe artykuły żywnościowe robotnik i inteligent pracujący?

Produkcja przemysłowa stale wzrasta. Coraz szerszym strumieniem popłyną na wieś artykuły wyprodukowane rękami robotników. Cóż oznacza fakt, że rzucimy na wieś towary na ogólną wartość 50 miliardów złotych? Znaczy, na taką sumę otrzyma miasto żywności, po cenach znacznie niższych, niż obecnie. W rachubę wchodzą zboża, mięso i jarzyny. — Przedsięwzięta rozbudowa placówek spółdzielczych wyeliminować powinna spekulację i zapewnić obrót handlowy na zdrowych zasadach.

Sukces żniw ma także inny posmak, polityczny. Przestanie może być chleb instrumentem walki reakcji zagranicznej z Polską. Boleśnie uprzytomniamy sobie dzisiaj, jak tanio chciano nas kupić, jak chciano nas zmusić do uległości i zaprzestania przeprowadzania reform społecznych.

Sukces żniw — to dalsze ogniwo wzmagania się produkcji, a co za tym idzie utrwalenia suwerenności i rządów demokracji ludowej.

Władysław Machejek.

Sprawa niemiecka nie załatwiona

29 lipca zjadą się w Paryżu przedstawiciele Narodów Zjednoczonych, którzy wezmą udział w konferencji pokojowej. Pałac Luksemburski zapełni 2000 delegatów. Kwestią obrad będą traktaty pokojowe z satelitami Niemiec, których projekty zostały uzgodnione na konferencji ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw — ZSRR, USA, Anglii i Francji. Tematem obrad natomiast nie będzie sprawa Niemiec i Austrii, zagadnienia związane z tymi państwami będą dyskutowane dopiero w listopadzie na konferencji ministrów spraw zagranicznych. A jednak nas Polaków, najbardziej interesuje sprawa niemiecka. Niedawno minęła rocznica konferencji Poczdamskiej, popularnie zwanej Poczdamem, przypomnieć należy, że „Wielka Trójka" uzgodniła wtedy swoje zdanie co do odprzemysłowienia Niemiec i zupełnego rozbrojenia. Po roku czasu widzimy, że nie ma zgody wśród sojuszników w najbardziej zasadniczych sprawach niemieckich.

Odprzemysłowienie. Najlepszą gwarancją rozbrojenia Niemiec miało być odprzemysłowienie. Fabryki, w rodzaju I. G. Farbenindustrie miały być rozmontowane jako pośrednio pracujące dla przemysłu wojennego i wywiezione do krajów sojuszniczych. Okazało się to jednak fikcją. Anglicy i Amerykanie są zbyt zatroszczeni losem „biednych Niemców", by im pomniejszać dochód społeczny. Zarazem sami zainteresowani są w potęgowaniu produkcji, a nie w pomniej[illegible].

Denazyfikacja. Okazało się, że Anglosasi poza sporadycznym powieszeniem kilkunastu kacetowych zbrodniarzy, w ogóle nie mają planu odhitleryzowania Niemiec. Wszystko wygląda na to, że Anglosasi pragną się podobać Niemcom. Doradcami ministerialnymi częstokroć są hitlerowcy, magistraty są nazywane przez szczerych demokratów niemieckich, niedawno wyszłych z obozów koncentracyjnych „nowymi domami brunatnymi". Nic się w nich nie zmieniło. Z goryczą się mówi, że chcąc żyć, trzeba być hitlerowcem.

Amerykański generał Clay wydał rozporządzenie w zarządzanej przez siebie strefie okupacyjnej, na mocy którego wszystkim Niemcom do lat 27 zostały darowane winy z racji przynależności do partii hitlerowskiej czy SS. To świadczy o kierunku polityki amerykańskiej. Największe zbiry mogą się znaleźć poza kręgiem wymiaru sprawiedliwości.

Rozbrojenie. Nie wykonano całkowicie planu co do rozbrojenia armii lądowej i floty. Działają dalej sądy polowe, skazujące niekarnych żołnierzy czy marynarzy, pozostających w obozach aliančkich na kary więzienia. Ciekawe jest, że do tej pory zachodzą wypadki skazywania za dezercję z hitlerowskiego wojska.

Odszkodowania. O wiele jesteśmy dalsi obecnie od zrealizowania reparacji wojennych kosztem Niemiec, niż to było przed rokiem. Jugosławia, Grecja, Czechosłowacja, czy Polska nadaremnie czekają na możliwości odbudowy własnego przemysłu, zdemontowanego lub zniszczonego przez Niemców.

Jak wiemy — Polska ma otrzymać odszkodowanie w ramach reparacyj radzieckich, które ZSRR miał wyegzekwować ze stref okupacyjnych mocarstw zachodnich. Nie mogąc się doczekać na regulację tego zagadnienia przez sojuszników, ZSRR zasekwestrowała majątek poniemiecki w przemyśle austriackim. Krok ten spotkał się z energicznym sprzeciwem a-

merykańskiego generała Clay'a, tego samego, który tak pochopnie rozgrzesza młodych hitlerowców i powszechnie odpuszcza im winy.

Pertraktacje w tej sprawie jeszcze nie zostały zakończone. Prasa radziecka zarzuca Anglii i USA, że świetnie poradziły sobie z reparacjami dla siebie, uzupełniając swój przemysł maszynami wywiezionymi z Niemiec. W każdym bądź razie stanowisko generała Clay'a jest groźnym signum. Demokracje zachodnie — należałoby przypuszczać — pragnęłyby odbudować niemieckiego partnera i zapewnić sobie towarową wymianę. Business is business! Interes interesem.

Sedno sprawy leży bodajże w tym, że Anglia i USA chciałyby traktować okupację jako intratne przedsiębiorstwo. W tym kierunku idą propozycje amerykańskie: by scentralizować cztery strefy okupacyjne w jednolitą całość. Miałoby to na celu pokrycie niedoborów w amerykańskiej strefie nadwyżkami z innych stref. W każdym bądź razie Amerykanie zmęczeni są nieumiejętnością rządzenia wrogim narodem i najchętniejby wycofali się z nieintratnego przedsięwzięcia, gdyby nie grały tu roli pewne hamulce prestiżowe.

A tymczasem Francja daremnie upomina się o przyłączenie Saary i Ruhry do Francji. Angielscy kapitaliści wolelibу jednak nie oddawać kontroli nad bogatymi kopalniami węgla i rudy bezpośrednio w ręce Francuzów. Chcieliby oni międzynarodowej komisji kontrolnej, w której zapewniliby sobie decydujący głos. — Francja, która poniosła tyle ofiar dla wspólnego zwycięstwa musi się czuć pokrzywdzona takim stanowiskiem Anglii. Wielka Brytania gra bodajże tę samą rolę w stosunku do Francji, co po tamtej wojnie — nie pozwolić na wzrost potencjału gospodarczego i wojennego Francji, a tym samym uczynić ją sługą chęci brytyjskich.

Jak widzimy, ile jest stref okupacyjnych, tyle jest polityk i tyle planów na przyszłość. Dobrze się stało, że żołnierz polski zabezpieczył nam granice na Odrze i Nysie przedtem, zanim do głosu zaczęły dochodzić germanofilskie i reakcyjne elementy w Anglii, przede wszystkim w Anglii. Mogą się Niemcy teraz żalić do syta, mogą prowokacyjnie nazywać Ziemie Odzyskane „terenami pod tymczasową administracją Polski", może cenzura amerykańska przepuszczać tego rodzaju prowokatorskie artykuły w prasie niemieckiej — — nad Odrą czuwa żołnierz polski, mocny przeświadczeniem, że najlepszą gwarancją wiecznej przynależności tych ziem do Polski jest jego pogotowie bojowe. Żołnierz polski ma za sobą braterską pomoc Armii Czerwonej.

Niech kłócą się Angloamerykanie, my nasze ziemie odgermanizujemy.

(wm)

DZIAŁ LITERACKI

HANKA PIEKARSKA

Strajk

Obrazek z roku 1936

Dla ośmioletniego dziecka, obdarzonego bujną wyobraźnią podwórze jednego z tysięcy odrapanych domów może być całym światem. Stary kasztan, jedyny żywy znak nadchodzącej co roku wiosny jest okrętem. Można żeglować na nim godzinami, obejmując wzrokiem nieznane, dalekie lądy — ulice, pełne rzeczy, które Franek zna tylko z nazwy, i które brzmią tajemniczo i obiecująco. Zresztą nie czuje nawet specjalnego zainteresowania dla czegoś, co nazywa się brzoskwinia, czy salami. Dużo więcej zainteresowania okazuje poprostu kawałkowi czarnego chleba, zwłaszcza, kiedy przygląda mu się przez szybę piekarni. A już ogromnym entuzjazmem wybucha na widok wielkiego lizaka, którego czasem w niedzielę przynosi ojciec.



Ale o ojcu nie będziemy jeszcze pisać. W tej chwili jest godzina 12-ta. Ojciec wróci dopiero o piątej, a do tego czasu kasztan na brudnym, ponurym podwórzu zmieni jeszcze co najmniej trzy razy swoje przeznaczenie. Kiedy wreszcie po szeregu przeobrażeń stanie się znów starym kasztanem, Franek ze zwinnością wiewiórki zsunie się z niego i zacznie zabawę na innym terenie. Teraz naprzykład, kiedy podwórze zaczyna zapełniać się dziećmi, można zacząć zabawę w chowanego. Do tego celu dom nadaje się świetnie. Za wielkim śmietnikiem można stać spokojnie, bez obawy, że zostanie się zauważonym. W ciemnych piwnicach dla żadnego z chowających się dzieci nie jest przeszkodą przebiegający pod nogami szczur. Ważna jest tylko zabawa, która napewno nie jest mniej pasjonująca od lalek, strzelby, czy konia na biegunach.

Franek, gdy bawi się w chowanego, często nie słyszy głosu matki, a nawet gdy go usłyszy udaje, że matka wcale go nie woła, że nie jest jej potrzebny. Na co mógłby być potrzebny matce ośmioletni chłopiec?

Matka ma lat 36. Kiedy patrzy się na nią, wydaje się dużo starsza, ale tu, w tej dzielnicy miasta kobiety nie usiłują wygładzać zmarszczek i farbować przedwcześnie posiwiałych włosów. Na to nie mają czasu.

W tej dzielnicy miasta wszystkie matki Franków od wczesnego rana do późnej nocy pracują. Tu, starają się często bez skutku — rozwiązać problem kawałka czarnego chleba za szybą piekarni.

Matki Franków nie mają zwyczaju tragizowania życia. Przeważnie godzą się ze swym losem bez żadnych wstrząsów psychicznych. Żyją z dnia na dzień nie rozważając możliwości innego bytowania. Unoszą się, gdy ojcowie Franków wracają do domu pijani. Czasem krzyczą, czasem, — rzadziej — płaczą. Najczęściej pracują.

Matka pierze. Pierze stosy bielizny, ugina się rytmicznie nad balią pełną wody i monotonnie, tak samo trze każdą sztukę na wielkim tarle. Nie oszczędza przy tym własnych rąk, które pokrywają się coraz gęstszą siecią zmarszczek. Czasem ręce krwawią. Wtedy matka, zakląwszy, owija je sobie szmatami, aby nie plamiły bielizny.

Matka Franka nie zastanawia się, ile treści mieści się w słowie: „pierze". Nie bierze pod uwagę bolącego krzyża i krwawiących rąk. To są słowa poboczne i stają się istotne dopiero wtedy, gdy nie można już wstać z łóżka, bo nie ma się siły.

Kiedy bielizna wysuszona i zdjęta ze strychu układa się białą stertą na łóżku, matka woła Franka. Franek wyciąga z za szafy stary kosz i pakuje do niego obrusy i prześcieradła.

Franek jest mały i chudy, ale zawsze pomaga matce, kiedy nikogo nie ma w domu. Wszyscy przecież pracują. Ojciec jest w fabryce, Staszek sprzedaje gazety, a Jadzia sprząta w hotelu.

Wszyscy pracują, więc Franek, choć najmłodszy, chcąc niechcąc przerywa zabawę i pracuje także. Pomaga matce dźwigać wielki kosz do magla, wiedząc, że ta robota ma dużo wspólnego ze słoikiem smalcu, który zostanie postawiony na stole obok ziemniaków.

Tak przechodzą Frankowe i matczyne dni. O 5-tej wraca z pracy ojciec. Nieco później wraca także Staszek i Jadzia (tych dwoje żyje już własnym życiem. Mają po 15 lat, są dorośli). Kiedy schodzą się wszyscy, matka przerywa pranie i szykuje obiad.

W soboty ojciec przychodzi do domu wcześniej i przynosi wypłatę. Czasem zdarza się, że przychodzi później i jest pijany, ale takie wypadki mają miejsce nie często, tym bardziej, że wypłata ciągle się zmniejsza. Ojciec powtarza ciągle: „kryzys, bezrobocie, redukcja" i wiele innych słów, których Franek nie rozumie a których treści domyśla się z miny ojca i wyrzekań matki.

Obiady przechodzą zazwyczaj w milczeniu. Zwykle potem ojciec kładzie się na łóżku z gazetą i czyta. Wieczorami schodzą się koledzy ojca na karty. Często też rozmawiają ze

JERZY POGORZELSKI

WZNIESIONA PIĘŚĆ

Wzniesiona pięść — to nie tylko żylasta dłoń, zaciśnięta twardo
czarna dłoń i pięć palców ściśniętych do bólu,
oczy, które patrzyły z pogardą
naprzekór bagnetom i kulom.

To nawet nie: dynamit wysadzający w powietrze,
bomba, ciśnięta celnie — granat, który doleciał.
To sztandar — rzucony w górę i łopocący na wietrze,
to pieśń, śpiewana we wszystkich językach na całym świecie.

Ta ręka, czarna i twarda, ręka wzniesiona w górę,
to więcej, niż granat i bomba — choć one wolność wykuły;
patrzcie, jak wznosi się z gruzów żelbetonowym murem
Polska, którą ta ręka — buduje!

---

sobą o wyzysku i kapitalistach. Franek siedzi wtedy cicho i słucha. Matka podnosi od czasu do czasu głowę z nad swej wiecznej bielizny i mówi: „Ech, przestałbyś wreszcie Józek, i wy wszyscy takie rzeczy gadać. Póki pracujecie, jest co do garnka włożyć, a jak ten wasz strajk zrobicie, co wam przyjdzie z tego?" Ale nikt nie zwraca uwagi na słowa matki i Franek chociaż nie wiele jeszcze rozumie, jest także po stronie mężczyzn.

Jeden z codziennych dni kwietniowych staje się jednak inny. Tego dnia wszyscy ojcowie wszystkich Franków nie wracają do domu. Wieczorem matki Franków gromadzą się na ulicy i mówią zrazu cicho, potem coraz głośniej.

Z tej rozmowy dowiaduje się Franek, że w fabryce wybuchł strajk, że wszystkie maszyny stoją, że w budynku fabrycznym siedzą robotnicy i nie wpuszczają nikogo do środka. — Siedzą i czekają, aż właściciel fabryki podwyższy im wypłatę. Tymczasem fabryka stoi, właściciel denerwuje się i przelicza straty, bo zaczyna się sezon letni i mimo kryzysu, można byłoby zarobić dużo pieniędzy.

Robotnicy okupują halę maszyn. Znaczy to, że ojciec Franka nie przyjdzie do domu ani dziś, ani jutro. Przyjdzie dopiero wtedy, kiedy dostanie dużo pieniędzy. A wtedy Franek kupi sobie dwa lizaki, weźmie je w obie ręce i będzie lizał raz jeden, raz drugi.

Tak, ojciec ma rację, siedząc przy cichej, spokojnej maszynie. Oni tam wszyscy mają rację, bo chociaż teraz przez parę dni będzie źle, potem będzie za to dużo lepiej.

Doszedłszy do sedna sensu strajku, Franek wpada w tłum kobiet i woła: „Mamo, tata pewnie głodny. Trza mu coś do jedzenia zanieść

Na te słowa kobiety cichną i każda wraca do swego domu, by za chwilę wyjść z garnkiem zupy.

Franek idzie z matką, niesie zupę i dumnie podaje ją stojącemu w oknie ojcu. A na dobranoc dodaje jeszcze „Nie martw się tata My sobie radę damy" Matka odciąga go od fabryki, pochlipując pod nosem: „Nic dobrego z tego nie wyjdzie, nic dobrego"

Noc mija spokojnie, ale już następnego dnia koło fabryki kręcą się policjanci. Chcą dostać się do wnętrza budynku. Robotnicy nie puszczają ich.

Franek kręci się między policją, obserwując spodełba „stróżów porządku". Ulubiony mundur policjanta staje się w jednej chwili nienawistny.

Przy drzwiach fabryki ktoś manewruje gumową pałką. Jest coraz głośniej. Granatowi odpędzają stojące opodal kobiety. Matka ogląda się za Frankiem, ale chłopiec ginie jej z oczu. Jest tuż przy fabryce i krzyczy: „Tata, nie daj się, nie daj się"!!

Nagle, niespodziewanie powietrze przeszywa strzał. Franek jest bardzo zdziwiony. Siada na ziemi podnosząc do góry głowę. Mówi raz jeszcze: „nie daj się", potem kładzie się i zamyka oczy.

Na moment zapada cisza tak wielka, że słychać jeszcze ostatni oddech chłopca.

Ciszę przerywa krzyk kobiety. To matka wydarła się z tłumu i płacze nad synem.

We wszystkich oknach fabryki pobladłe twarze. Ojciec patrzy w jeden punkt i powtarza bezgłośnie: „nie daj się! Franuś, Franuś"...

I wtedy jeden z nich mówi głośno, powoli i dobitnie: „Towarzysze, zaśpiewajmy mu. Ostatni raz"!

Kiedy matka klęcząc nad chłopcem płacze, z wszystkich okien fabryki płynie pieśń:

Bój to będzie ostatni
Krwawy skończy się trud...

To brzmi requiem dla Franka.

Ochłonąwszy ze zdumienia, policjanci zaczynają walić we drzwi fabryki

Hanka Piekarska

JERZY BROSZKIEWICZ

Trzy wieki przed Chopinem

Oficjalne metryki muzyki europejskiej pochodzą z Grecji starożytnej. Można oczywiście przypuszczać — i to z dużą dozą słuszności — że wszystkie narody naszego kontynentu miały już wówczas swoją muzykę, lecz jeśli chcemy unikać hipotez a operować faktami musimy przestrzegać zasady dokumentów — zasady oficjalnych metryk. Owe oficjalne metryki to zabytki muzycznej kultury helleńskiej. I oto odrazu natykamy się na bardzo charakterystyczne zjawisko: stosunkowo niski poziom praktyki muzycznej a zdumiewająco wysoki wiedzy teoretycznej. Znakomity umysł grecki ustalił zasady akustyki, usystematyzował skale muzyczne, rozważał problemy z zakresu estetyki, psychologii — nawet z zakresu etyki muzycznej. Pochodzenie tych dokumentów teorii i praktyki w Grecji ustala się na III—I w. przed Chr. i I—II w. po Chr. A zatem obliczając oficjalny wiek muzyki europejskiej można obrać za podstawę liczbę mniej więcej dwu tysięcy lat.

Jednak faktem jest, że nie byłoby to obliczenie całkowicie uczciwe — od czasów greckich do średniowiecza nie działo się wiele. Pierwsze dziesięć wieków ery chrześcijańskiej to dla muzyki epoka „nihil novi" — nic nowego. Muzyka jeszcze ciągle była pasierbem w rodzinie sztuk — literatura, architektura, plastyka miały już okresy swej świetności praktycznej — muzyka ciągle jeszcze, jak od dni swych narodzin, nie potrafiła przezwyciężyć prymitywnej jednogłosowości — śpiewano unisono (co najwyżej w oktawie) akompaniament instrumentalny był niemal identyczny z linią melodii zasadniczej.

Dopiero w XII i XIII w. rodzi się idea przeciwstawienia jednemu głosowi drugiego: aby brzmiały równocześnie i by każdy z nich zachował własną linię. W ten sposób powstaje polifonia czyli wielogłosowość będąca naturalnym następstwem tysiące lat liczącej jednogłosowości — w ciągu stu lat idea ta opanowuje wszystkie ośrodki europejskiej kultury muzycznej — kompozytorzy przeciwstawiają dwu głosom trzeci, trzem czwarty itd., itd. I oto w przeciągu czterystu lat polifonia dochodzi do wspaniałego rozkwitu — zdarzają się nawet kompozycje pisane na dwadzieścia kilka (!) głosów. Należy przy tym pamiętać o jednym — jak pisano i jak słyszano muzykę polifoniczną? Otóż poziomo — linearnymi, leżącymi obok siebie melodiami, a ponieważ była to muzyka biegnących poziomo głosów, więc pierwszym warunkiem jej piękna było piękno linii i wzajemnych przeciwstawień owych głosów.

Dopiero muzycy XVII i XVIII w. usłyszeli rzecz nową: współbrzmienie-akord będący wprawdzie wynikiem kilku linearnych głosów, ale uzyskujący nową funkcją: współbrzmienia pionowego, szeregu dźwięków ustawionych w pionie. I oto powoli wykształca się homofonia — muzyka ostatnich dwu stuleci — zasadzająca

swe piękno na pięknie następstwa współbrzmień pionowych — akordów. Po muzyce poziomu następuje muzyka pionu — po mistrzach polifonii: Josquin des Pres, Orlando di Lasso i Janie S. Bachu, mistrzowie homofonii: Wolfgang A. Mozart, Ludwig van Beethoven, Fryderyk Chopin, Johann Brahms, Sergiusz Strawiński.

Dziś — o ile można tak powiedzieć — muzyka dopędziła literaturę, plastykę, architekturę. W przeciągu siedmiuset lat odrobiła zaległości dziesiątków wieków — jej rozwój jest w historii kultury niewątpliwym fenomenem i to fenomenem niemal bez precedensu. Kompozytorzy Niderlandów, Włoch, Francji i Niemiec dokonali dzieła, które bez najmniejszej przesady można nazwać zdumiewającym.

Jakiż udział naszego narodu w tym dziele? Aby dać ścisłą odpowiedź na to pytanie należy zbadać oficjalne metryki muzyki polskiej, przebieg jej rozwoju od pierwszych znanych artystów i zachowanych kompozycji do lat ostatnich. Rzecz prosta metryki oficjalne są prawdopodobnie spóźnione wobec rzeczywistego stanu rzeczy, lecz z szacunku dla naukowej ścisłości należy uznać je za podstawę badań historii naszej muzyki.

Pierwsze nazwisko polskiego kompozytora to imię Jana Kempa Łodzia z XIV w., biskupa poznańskiego — autora utworów ściśle związanych z liturgią kościelną, zresztą bardzo jeszcze prymitywnych i nie dotrzymujących kroku muzyce zachodniej. Toteż ma ono znaczenie raczej „metrykalne" — jest pozycją bibliograficzną i w istocie wiek XIV jest okresem, w którym nie mamy jeszcze nic do powiedzenia.

Dopiero w pierwszej połowie XV wieku pojawia się kompozytor o formacie europejskim — artysta wysokiego talentu i rzemiosła nie będącego w stosunku do reszty Europy anachronizmem. Jest nim Mikołaj z Radomia, autor dwu i trzygłosowych utworów zarówno świeckich jak i kościelnych, pozwalających na zorjentowanie się w charakterze ówczesnej polskiej twórczości muzycznej — w rozwoju techniki i w t. zw. wpływach. Zaczyna być wówczas coraz lepiej — dwór wawelski ma już swoją kapelę stojącą na równi z kapelami dworów zachodnich — Kraków posiada szkoły śpiewacze i instrumentalne (przede wszystkim organiści) — rozpowszechnia się druk muzyczny — działają teoretycy. Nadchodzi wiek XVI — okres, w którym muzyka polska już całkowicie przestaje być „kopciuszkiem" Europy.

Przypomnę jednak użyte tu już słówko — t. zw. „wolywy". Otóż nic nas nie uprawnia do megalomanii we wczesnej historii polskiej muzyki. Do czasów Chopina byliśmy tylko uczniami Europy. Uczniami pojętnymi, utalentowanymi, czasami nawet dorównującymi mistrzom niderlandzkim, włoskim czy niemieckim. Lecz nie stajliśmy się mistrzami — to pewne. Dopiero Chopin. A warto zastanowić się nad tym problemem: gdzie główne przyczyny tego stanu.

Pierwsza to brak geniuszów. Lecz byłaby to odpowiedź zbyt łatwa.



RUDYARD KIPLING

Ziemia rodzinna mówi do swych dzieci

Ja jestem ojców twych krainą
i we mnie szczęście się kwieci —
chcę, zanim wody dni upłyną,
z powrotem przywieść me dzieci.

Pod ich stopami w gęstej trawie
rodzi się lgnące czarowie —
powrócą tu jak obcy prawie,
zostaną jako synowie.

Nad ich głowami wśród na nowo
zyskanych drzew wśród polan,
ja przędę moich zaklęć słowo
ciągnąc ich do mych kolan.

Zapachy dymu w te wieczory
i deszczów, co w noc się rodzą,
godziny, dni i roku pory
ich dusze znów złagodzą.

Aż ja rozświetlę sens prastary
znaczony lat tysiącami —
wiedzą napełnię ich serc puchary,
ich oczy — wzruszeń łzami.

Przełożył z angielskiego W. Zechenter

Wiek XVI w Polsce jest okresem pracy i twórczości dużej liczby talentów wybitnych, a kilku talentów takiego formatu, jakim mogłoby się poszczycić każde środowisko muzyczne w ówczesnej Europie. A zatem musiały istnieć przyczyny nieco głębsze i bardziej skomplikowane.

Faktem jest, że Mikołaj z Krakowa, Sebastian z Felsztyna, Seweryn Koń (I połowa XVI w.), Krzysztof Borek, Marcin Paligon lub Marcin z Warty (II połowa) nie byli kompozytorami zdolnymi do stworzenia nowych wartości o zasięgu europejskim — należy w nich widzieć ważnych jako zjawisko kulturalne, lecz najważniejszych artystycznie epigonów sztuki zachodniej. Ale inne nazwiska — Wacław Szamotulski (z Szamotuł), Marcin Leopolita i Mikołaj Gomółka — zmuszają do zastanowienia. To byli artyści wielkiej miary — śmiem przypuszczać, że pracując w środowiskach bardziej samodzielnych przeszliby do historii muzyki europejskiej w roli gwiazd pierwszej jakości. Zachowało się po nich niewiele — po Szamotulskim zaledwie trzy t. zw. motety i kilka pieśni, po Leopolicie jedna msza i cztery motety, po trzecim z nich tylko jedno dzieło: „Melodie na psałterz polski, przez Mikołaja Gomółkę uczynione".

Owe „Melodie" noszą dość charakterystyczną adnotację — napisano je „nie dla Włochów, (lecz) dla Polaków". Miały być więc proste i polskie. Zapowiedź nie została jednak w końcu dotrzymana — owej polskości niewiele i to mimo tak wyraźnego programu.

Charakterystyczna adnotacja i charakterystyczny efekt. W sumie: charakterystyczny fakt. Można go poszerzyć na całą ówczesną polską twórczość muzyczną i można go uznać za główną przyczynę naszej nieobecności w głównym nurcie historii europejskiej muzyki XV i XVI wieku. Dlaczego? Ponieważ na psychice polskich kompozytorów zaważyło to, co nazwałbym kompleksem prowincji — nawyk naśladowania wzorów i stylów obcych przy braku szacunku dla własnej i narodowej myśli twórczej. W efekcie Niemcy i Włosi pisali „w stylu polskim", zachwycali się materiałem artystycznym naszej muzyki ludowej i realizowali jej pomysły wiedy, gdy nasi twórcy komponowali „w stylu włoskim".

Wiek XV i XVI były w naszej muzyce okresem, którego nie potrzebujemy się wstydzić przed nikim. Pamiętając o Mikołaju Reju czy Kochanowskim, nie możemy zapominać o Leopolicie czy Szamotulskim. Ale kompleks prowincji, na który cierpieli ówcześni nasi kompozytorzy, a szczególnie jego efekty, również powinny być dobrze zachowane w naszej pamięci jako przykład, którego nie należy naśladować.

ADAM WŁODEK

WIERSZE

ŻOŁNIERSKI PŁASZCZ

Wspomnienie z września 1939.

I pomyśleć, taką serię śmierci
maszynowej — przyjąć może ciało.
Po ataku na cekaemy zabrałeś na długi spoczynek
trzydzieści siedem postrzałów.

Wybuchy odkładają mów pożegnalnych patos;
— starczy cisza twej odrzuconej twarzy!
Żegnając pochyleniem broni - cofamy się pod las.
Wynurzeni z za pni — powtórzymy gorzką historię:
znów wypowiemy wystrzały, jak najtrwalsze wyrazy.

[illegible]

Rozwijamy nad tobą brudny żołnierski płaszcz:
najwierniejszy sztandar każdej wojny.

PAMIĘTAM

Rano idziecie w pole z motykami ku słońcu —
[illegible]
Pewno ta, z którą pradziad poszedł
czerwoną robotę Szeli wspierać.

Kiedyż się zgięte wasze życie wyrówna?
— [illegible] was mój wiersz.

Widzę wszystko tak jasno
gdy strzechy cień
chłodem owija mi twarz —

Na tej przyzbie wzrosło dziecko: moja matka,
— na tej przyzbie siedzę teraz ja...

chłop urodzony w mieście

[illegible]

SZTANDARY I PIEŚNI

Zderzały się dawniej myśli i spojrzenia zdumione:
— czemu dwie w jednej mowie pieśni i wrogie flagi dwie?
Wtedy to kolor bruku coraz częściej bywał czerwony,
. bo na nim robotnicza krew...

Potem pięć lat padał w ziemię z płonących serc popiół szary,
w jedne ścieki obozów wspólna spływała krew.
Zapominali czasem ludzie, lecz pamiętały sztandary —
i biało-czerwony z czerwonym śpiew.

Dzisiaj dwu flag nie widzę, gdy jednym drzewcem
mocno się wbiły w Berlina dymiący gruz.
Dziś — naprzód!...nie zginęła... i jeszcze:
...ostatni to będzie bój...

Uderzyć jak pięścią — wierszem!
i wierszem dłonie ku dłoniom daj! —
Pieśnią wzniesiony niechaj dzień każdy
wschodzi jak Pierwszy Maj! (1945)

POWIEDZIEĆ WSZYSTKO

Przy pomniku żołnierzy radzieckich.

Nie objęty zegarem, ten co tu zastygł, czas.
Śmierć się piętrzy żyjącym pomnikiem.
Kamienny sztandar po drzewcu spływa jak łza,
w położonych literach milczą bojowe okrzyki.

[illegible]

Niżej żołnierz żywym ruchem błyska,
by nie spadła nagła gwiazda wybuchu.
Więc wciśniętym w nienawiść powiedzieć, każdemu —
wszystko:

[illegible]

Nie musi świecić pięcioramienna czerwień
nad myśli twych Betleemem.
Lecz nie przekreślisz chwili, w której mocnym kształtem
utrwaliło się też — narodzenie.

[illegible]

ZE ŚLĄSKA

Kominy, wielkie wrzeciona, owite dymem jak przędzą
na chorągiew tej ziemi. A oto już pól wyłogi.
Do oczu — rąk czekające — nieścięte chyli się zboże.
Wśród kłosów senna stał: skoszone czołgi

Popatrz: okno autobusu krajobrazem potrząsa;
[illegible]
Daj automat, kolego-żołnierzu
Wyrównawszy jego długość w rozwartych ramionach,
drogę, co tu twardo wiodła — zmierzę.

Wzrok się toczy. Już Odra
jak czas płynie, by być dalej — granicą.
Mocnym krokiem o brzeg wsparci, wróżymy przyszłe lata.

Pod brzęk kieliszków, na żyzny spokój tej ziemi,
uczę się strzelać z automatu.

[illegible] października 1945.

POMNIK

[illegible]

— — wójt Waloszek, chłopcem będąc, tę ziemię
w zrywie szturmu, biegiem w górę — wywyższali...

Potrzaskane wrogie mauzoleum
nie przygniata już tętna żywej krwi.
Milczą spokojnie pod darnią ci, co umieli
żyjąc — wołać. I wierzyć. I bić.

Tutaj dłuto — poległych ostatnią myśl utrwali.

— — wójt Waloszek przygląda się chwili,
w której wzrokiem polski mundur mierzy...

A kłos już wyrasta, jak pomnik, z kości śląskiego powstańca,
najbardziej nieznanego żołnierza.

Z pobytu na górze św. Anny w październiku 1945.

WZRUSZENIA I PLAKATY

Barykada: szafa i wóz. Rozbiły czerwony krzyk cegły.
Walka — co marszem upartym podrywała z nad ziemi śpiew.
Długo zmęczony krok zgrzytał po bruku, jak kości poległych;
dziś wolny — rytmem zastyga w wiersz.

Barykada. Walka. Śpiew. Marsz. Najwyższą wypłatą—skrót wspomnień.
Słowo zachodzi na słowo. Słowa szepcą: pamiętaj!
Szept, co był kiedyś krzykiem, grom — co się zmienił dziś w promień,
uczą nazywać zwycięstwo, co już na zawsze zaczęte.

Zwycięstwo. Bój to ostatni. Więc ludom, co jeszcze pożarem
oświetlone, z barykad rzucają czerwony krzyk cegły,
- podaj dłoń. Glob zawiruje w obrotach niepodległych.

Wzruszenie szeleści w plakatach. Wzruszenie rozwija sztandary.

POLSKA

Kołysko wielkich słów — skaliste glebo myśli.
Promieniu zakrzepły w sierpach, lecz jakże często: w bagnetach
Imię twe z trudem dobywam
jak chłop ostatni grosz

[illegible]

Kraju niskiego nieba i niebem grożących kościołów,
prześlań w wiatrakach dzwonnic miażdżyć dni wielkich ziarna.
Muzykę idących fabryk szemeruj w kształt — i położ
pod zasiew jasnych domów. Z czerwonej krwi. Z ziemi czarnej.

Kraju — ludzi tu naucz nazywać ojczyzną: błysk pracy.
Cieniem węglów rąk nie chroń, co zasadzają — dynamit.
Poganiaj traktory, kroczące śladami dawnych soch.

O równość wolnych z wolnymi
[illegible]

Kołysko mych pierwszych słów, Glebo, w którą wrośnie
[illegible]

KONRAD RADECKI

Na odwiecznej granicy Polski i Niemiec

Ostatnio rozpoczęła działalność nowa instytucja wydawnicza, specjalizująca się w problematyce zachodniej, — „Wydawnictwo Zachodnie" w Poznaniu. Jest ono owocem ideologicznej współpracy Zachodniej Agencji Prasowej, placówki utworzonej przez dziennikarzy specjalizujących się w problematyce zachodniej i Polskiego Związku Zachodniego, instytucji społecznej, której zadaniem i celem jest „uzachodnienie" polskiego społeczeństwa. Zbieżność zadań i zainteresowań daje w wyniku powstanie wydawnictwa, jakiego brak dawał się odczuwać.

Jako pierwsza książka ukazał się tom „**Odzyskane Ziemie — odzyskani ludzie**", zawierający cykl artykułów znanych publicystów, omawiający najistotniejsze zagadnienia Ziem Odzyskanych. W doskonałej i żywo zredagowanej tej książce omówione są najistotniejsze zagadnienia polskiego Zachodu, jak repolonizacja, rola tych ziem w polskiej kulturze, możliwości gospodarcze nowej Polski itd.

Nakładem tegoż wydawnictwa ukazała się też książka p. t. „**Były i będą nasze**" pióra Tadeusza Kraszewskiego. Jest to zbiór pogadanek o najistotniejszych zagadnieniach Ziem Odzyskanych. Dotychczas społeczeństwo polskie, a szczególnie młodzież szkolna odczuwała brak rozwiązania problemów zachodnich w przystępnej formie. Wiele poważnych prac naukowych siłą rzeczy nie może odegrać takiej roli. Rozrzucone w prasie polskiej sporadyczne felietony, szkice i reportaże o Ziemiach Odzyskanych są zjawiskiem przemijającym i krótkotrwałym. Książka „Były i będą nasze", przeznaczona dla jak najszerszych warstw społeczeństwa polskiego, stanie się trwałym atutem w naszej akcji propagandowej i oświatowej, nie tylko na Ziemiach Odzyskanych, ale w całym kraju. Budzi ona nie tylko żywe zainteresowanie do tych ważnych problemów, ale także budzi w duszy kadego czytelnika miłość do ziem dotychczas nieznanych, do krain zapomnianych i wydartych nam przez wroga.

Książka „Były i będą nasze" powinna znaleźć się w każdym domu polskim, w ręku każdego dziecka polskiego. Opierając się na podłożu historycznym i na szkicu naszych prac na przyszłość stwarza ona mocną wiarę i przekonanie, że Ziemie Odzyskane będą nasze zawsze, że muszą być zawsze nasze, jeżeli chcemy pokoju świata i szczęścia naszego narodu.

Duże zainteresowanie obudziła w ostatnim czasie sprawa Łużyc, najmniejszego narodu słowiańskiego, słowiańskiej wyspy w morzu germańskim, która mimo bijących w nią fal wynaradawiającego ucisku przetrwała do naszych czasów. Łużyce chcą się wyzwolić obecnie spod panowania niemieckiego, czy to jako samodzielne państewko, czy w połączeniu z Polską.

Zabiegi działaczy łużyckich znajdują współczujące zrozumienie szczególnie wśród narodów słowiańskich. Społeczeństwo polskie z sympatią patrzy na bratni naród Serbów Łużyckich, do którego geograficznie zbliżyła nas teraz granica na Odrze.

Sympatia ta jednak nie ma mocnego oparcia w bliższej znajomości Łużyc: ich życia, ich dziejów, ich historycznych związków z Polską.

Braki te wypełnia znakomicie 80-stronicowa książka pt. „**Łużycom wolność!**" Jest to praca zbiorowa, której poszczególne rozdziały oświetlają wszechstronnie problem łużycki. Opracowania te wyszły spod piór znakomicie wybitnych uczonych, jak prof. dr J. Kostrzewski, prof. dr B. Stelmachowska, znanych działaczy łużyckich w Polsce: red. T. Powidzkiego (który zredagował też całość i zaopatrzył zbiorową pracę wstępem), A. Matyniaka, P. Dudzika, wreszcie młodego uczonego łużyckiego A. Nawki. Książka ta, wydana nakładem „Wydawnictwa Zachodniego" w Poznaniu, stanowi cenny wkład do skromnej dotychczas u nas literatury prołużyckiej.

Cenne te książki „Wydawnictwa Zachodniego" odnoszą się do tematów, aktualnych i ważnych dla polskiego czytelnika, związanych z odwieczną granicą Polski i Niemiec. Jak te Niemcy dzisiejsze wyglądają — oto pytanie ustawicznie absorbujące — i słusznie — ustawicznie nasuwające się. Dlatego dobrze się stało, że na półkach księgarskich pojawiła się książka o budzącym zainteresowanie tytule: „**Niemcy rozgromione?**" Znak zapytania, postawiony po słowie „rozgromione", budzi zaniepokojenie i zaciekawia.

Czternaście miesięcy zaledwie minęło od chwili zawieszenia działań wojennych. Wydawało się, że pogrom zwyciężonych Niemiec jest całkowity, a na dźwignięcie się z ruin potrzeba im będzie dziesiątków lat. Tymczasem już po upływie kilkunastu miesięcy czujni obserwatorzy sygnalizują z Niemiec, że rany zadane przez wojnę nie były tam wcale głębokie i niebezpieczne. Powoli i systematycznie, nie budząc podejrzeń na zewnątrz, Niemcy poczynają dźwigać się i normalizować życie na wszystkich jego odcinkach.

W wspomnianej książce znajdujemy ciekawe i wnikliwe obserwacje ze wszystkich dziedzin życia współczesnych, dzisiejszych Niemiec. Zebrane drogą autopsji — drogą własnych obserwacyj na miejscu oraz na podstawie bogatych źródeł: prasy i publikacyj niemieckich i zagranicznych, materiały te, przefiltrowane przez wnikliwe i krytyczne umysły uzdolnionych publicystów dają w sumie obraz ciekawy i przekonywujący. Żywo i barwnie ujęte w formę pisarską stanowią lekturę pożyteczną i pasjonującą. Obraz życia politycznego dzisiejszych Niemiec przedstawia nader ciekawie i wszechstronnie red. Bohdan Danielewski; wnikliwą analizę zjawisk życia gospodarczego w sposób gruntowny i rzetelnie udokumentowany daje red. Juliusz Kolipiński; wszelkie przejawy życia kulturalnego w syntetyzujących szkicach zebrał dr Aleksander Rogalski.

Książka „Niemcy rozgromione?", dzieło zbiorowe trzech dziennikarzy-publicystów, wydana została przez „Wydawnictwo Zachodnie", które omówionymi powyżej czterema pozycjami doskonale weszło na nasz rynek, dając książki naprawdę aktualne i naprawdę potrzebne.

JERZY LOVELL

NAD ODRĄ

Chlupocze czas u stóp Światowida,
rzeka płynie, licząc lata odrzucane wstecz —
nad wodą dach chylł słowiańska gontyna,
z lasu wybłyska pochodnia i miecz.

— Co rano z mrocznych, bagnistych ostępów
słońce na rogach wynosi żubr
i w srebrnym racic pojęku
wieczorem znowu zapada w bór —

Echo po puszczy rozpała ślepia puhaczy,
nad wodę spędza błyski kwitnących gwiazd —
wieszczbita noc przejrzy i dalej zobaczy,
co niesie, gwiazdami kołysząc, czas.

— Oto wierzbiny pręt giętki, zielony,
zasadza w rdzawej zbroi chrzest —
wieki zaszumią w zielonej koronie,
na zachód wzrośnie gniewna pięść.

Apel Towarzystwa Przyjaciół Łużyc

Towarzystwo Przyjaciół Łużyc w Krakowie zwraca się z gorącym apelem do wszystkich sympatyków Łużyc o zapisywanie się na członków Towarzystwa.

Uprasza również wszystkie istniejące i organizujące się towarzystwa prołużyckie, także szkolne kółka, o podanie adresów i składu zarządu.

Pisemne zgłoszenia nowych członków przyjmuje sekretarz Towarzystwa, Kraków, Komorowskiego 4, m. 9. Należy podać imię i nazwisko, zawód, dokładny adres, deklarowaną składkę (składki dowolnej wysokości będą inkasowane od września br.).

Popierajcie Towarzystwo Przyjaciół Łużyc, a za jego pośrednictwem bratni naród Serbo-Łużyczan.

TADEUSZ KUBIAK

PIEŚN O GRISZY

ZE STYCZNIA 1945

Gdy stanęli odziani w kożuchy
przemoknięte i sprane na słocie —
wyglądali w gęstwinie głuchej
jak drwale i tracze po robocie

Skośnooki Uzbek lał w menażki
biwakową, żołnierską lurę —
Płaty śniegu przefruwały jak ważki
i topniały w cieczy gorzkiej i burej.

Grzały palce parujące blaszanki
drażniąc nozdrza, jak sybirski narcyz..
Leśną ściółkę pachniał sen — a rankiem —
— Słyszysz, Grisza, kulomiot warczy...

Nie różnili się od sosen niczem
zasypani igliwiem i śniegiem,
gdy wypadli w ten pamiętny styczeń,
zbici w gąszcz — ponad Wisłę — biegiem.

Dymił z czap zapach długich koczowisk,
bił z kożuchów pasterski zaduch.
Świt się mglił ponad rzeką i płowił
pocił z armat i końskich zadów.

Aż zakwitło w oczach obce miasto
storczykami swych czterdziestu dzwonnic.
Pierwszy strzał w ściany przedmieść klasnął,
jakby chciał je zbudzić, oprzytomnić...

Nie różnili się od pni brzozowych
wiele — zgięci, niby w pół przerąbani
gdy zza murów wychylając głowy
ogniem salw rośli wzwyż po ścianie.

Nauczeni drapieżności wilczej
i wiewiórczej zwinności w walce —
umierając — potrafili milczeć,
gryząc z bólu sztywniejące palce.

Stepem w oczy nikły śnieg się wkradał
i na wargach spieczonych topniał,
Drwal i tracz do roboty się przykładał
z pasją, jaką zwykle tylko chłop miał.

Więc dudniło miasto w las odmienione,
zanuciło porębą z ulicy.
Kuł, jak dzięcioł — po ścianie zwalonej
cekaem, gdy go Grisza w garść chwycił.

— Hej, Nataszo, — mój stepowy ptaku —
myślał Grisza, a na czole chmura...
Nagle w oczach — błyskawica. Do ataku!
Naprzód! Bagnet na broń! Hur-ra!..

Znów rozlewał skośnooki Uzbek
biwakową lurę w menażki —
płaty śniegu między chrustem
przefruwały, kołysząc się jak ważki...

Oto stali w nadodrzańskich komyszach
tak podobni drwalom i traczom .
Tylko tam, gdzie zwykle stawał Grisza,
pod dębem — dąb dziś stanął sam — płacząc.

— Hej, Nataszo, gołąbko daleka —
myślał Uzbek wpatrzony w płomień.
— Hej, Nataszo, już ty nie czekaj,
raczej serce wyrwij — lub odmień.

KAROL KOWALSKI

Międzynarodowa awantura

Humoreska

W tym pensjonacie zebrało się doprawdy towarzystwo z całego świata. Był jeden Szwajcar (ale nie z zawodu), było dwóch Francuzów, jeden piękny Hiszpan, Amerykanin, flegmatyczny Anglik, dwóch jasnowłosych Szwedów i kruczowłosy Węgier, a nawet jeden turysta przyjechał aż z Portugalii.

Nie brakło też kobiet. Były dwie nadobne Włoszki, uśmiechnięta Czeszka, jedna córa Albionu i dwie siostrzenice Wuja Sama z mężami

A Polak był tylko jeden.

Nazywał się pan Myszka. Był chudy, wysoki i nosił binokle na czerwonym nosie.

Właściciel pensjonatu, rozparcelowany ziemianin, krzywym okiem patrzył na pana Myszkę, który wyglądał w tym towarzystwie, jak ucieleśnienie dysonansu.

Sami cudzoziemcy — a tu: masz babo kalosze! Znalazł się jeden Polak.

Zaraz pierwszego dnia pan Żytosiejski, właściciel pensjonatu, słodko spytał chudego intruza:

— Czy pan, panie dzieju, nie uważa, że pan jednak źle trafił? Tu sami obcy, zagraniczni, a pan...

Pan Myszka machnął niefrasobliwie ręką.

— Umyślnie ten pensjonat wybrałem! — odparł. — Chcę się wprawić w językach obcych...

— A po jakiemu pan, panie dzieju, [illegible]

— Po niemiecku, po francusku, po angielsku, węgiersku, włosku, czesku, [illegible]

— Na Boga! Toż pan, panie dzieju, chyba lingwista zawodowy!

— Nie, ale widzi pan, nauczył się człowiek w życiu paru języków, to i trzeba wypróbować.

I zaczęło się.

Wcześnie rano pan Myszka pojawił się w salonie. Francuz, Anglik i Amerykanie grali w brydża. Pan Myszka stanął koło Anglika i powiedział po angielsku:

— Siedem i dziewięć jest szesnaście. A sześć i trzy czyni dziewięć. Mnożę cztery przez pięć. Otrzymuję dwadzieścia. Trzy czwarte. Pięć szóstych. Pół i jedna trzecia.

I odszedł.

— Myślałem, że to uparty kibic, a to jakiś nieszkodliwy matematyk! — rzekł Anglik

— Matematyk, albo człowiek interesu — dorzucił stary Amerykanin

Przy obiedzie pan Myszka podając młodszej Amerykance salaterkę z groszkiem rzekł uprzejmie:

— Lubię brukiew. Brukiew jest jarzyną Kalafior jest większy od kartofla ale kapusta jest największa Ogrodnik hoduje karczochy. Ta marchew jest wyjątkowo duża

Amerykanka spojrzała z niepokojem na męża Ten uśmiechnął się i szepnął do Anglika:

— Dziwny sposób bawienia dam ma ten matematyk. Widocznie jest z zamiłowania ogrodnikiem

Po obiedzie pan Myszka wyszedł na taras. Spotkał tam Włoszkę i Węgra. Ślepy by spostrzegł, że jest im całkiem nie potrzebny, ale pan Myszka wcale się tym nie zraził. Po włosku rzekł:

— Góry są piękne — powiedział. — W górach żyją zręczne kozice. Ja poluję na kozice. Ty polujesz na niedźwiedzie. Orzeł mieszka na szczytach gór. On karmi swoje małe!

A po węgiersku rzekł:

— Czy pan woli polować, czy zbierać znaczki pocztowe?

— Lubię wszystko, prócz natrętów!... — mruknął Węgier.

— A ja lubię grać na skrzypcach. Ja grałem był krótką etiudę Szopena. On woli Brahmsa, niż Bacha. Czy słyszysz grę na fortepianie? Tak jest, panie hrabio, ja słyszę moją starą ciotkę, która gra na niemodnym klawicymbale!

To powiedziawszy pan Myszka opuścił taras.

W salonie Francuz oglądał z Portugalczykiem obrazy, wiszące na ścia[illegible]

— Ja widzę duży obraz — oświadczył pan Myszka.

— Oczywiście! — uśmiechnął się Francuz

— Ja widzę bardzo duży obraz!

— I ja też — odparł Portugalczyk.

— Ten obraz ma złocone ramy. On przedstawia łąkę. Na łące rosną kwiaty: bławatki, konwalie, bratki, róże, rododendrony, glicynie. Ja widzę także krowę na łące. Krowa jest pstra, albo czarna. Cielę pasie się obok [illegible]

Pan Myszka spostrzegł nagle, że nikogo przy nim nie ma Westchnął i wrócił na taras. Włoszki i Węgra już nie było. Zastał natomiast Amerykankę, która z zajęciem patrzyła na [illegible]

— Góry składają się z minerałów — rzekł pan Myszka po angielsku. — Minerał jest martwy, a roślina żywa. Ja wącham różę. Ospowaty dozorca też wącha różę Róża jest ponsowa, ale ma kolce

Zauważył, że Amerykanka ziewa dyskretnie. Zmienił więc temat:

— Ich ogromny rudy pies pokąsał babkę tego łysego piekarza!

— Doprawdy? — ożywiła się Amerykanka. Pewnie go poszczuli! Czy to była zemsta osobista? Proszę, niech-że mi pan opowie!

— Ogrodnik ma wysoką szafę i trzy niskie, lakierowane na niebiesko krzesła — odrzekł pan Myszka. — Ja witam się z ogrodnikiem Ty witasz się z krawcem. Jak się pan ma, panie krawcze? Szewc robi buty...

Amerykanka oburzyła się.

— To niegrzecznie kpić sobie w żywe oczy z ludzi! — zawołała.

I odeszła, aby poskarżyć się mę[illegible]

Tymczasem lingwista upolował Czeszkę.

— Kto się szanuje, ten lat nie czuje! — zaczął w jej ojczystym języku.

— Czy sądzi pan, że jestem stara? — zmarszczyła brwi wesoła Czeszka.

— Starość nie radość — zaznaczył z uśmiechem pan Myszka.

Czeszka rozłościła się na dobre.

— Głupiec! — pisnęła i odeszła z godnością.

Pan Myszka, zniechęcony nieco do swych nowych znajomych, wyszedł na ulicę. Przed willą stała młodsza Amerykanka.

— Ty jesteś piękna! — rzekł.

— Doprawdy? — uśmiechnęła się Amerykanka zalotnie.

— Na lewej nodze masz brzydki guz, wielkości kurzego jaja, a na prawej trzy małe odciski...

— Tylko dwa! — sprostowała Amerykanka bardzo zdziwiona. — Ale żadnego guza nie mam!

— Człowiek ma tylko dwie nogi, ale za to 32 zęby. Oczy. Usta. Uszy. Łydki. Matka karmi piersią dziecko.

— Jakie dziecko? Nieprzyzwoity człowiek! — krzyknęła Amerykanka i pędem uciekła do pensjonatu.

Pan Myszka westchnął z rezygnacją i podreptał za nią.

Ale w drzwiach natknął się na pana Żytosiejskiego.

— Panie dzieju — sapnął rozparcelowany ziemianin — oto pańskie rzeczy!... Żegnam pana!

— Co to znaczy? Dlaczego? — spytał pan Myszka ze zdumieniem.

— Pan mi tu awanturę międzynarodową wywołał! Wszyscy mówią, że pan, panie dzieju, tego.. — i tu pan Żytosiejski znacząco stuknął się palcem w czoło. — Głowią się tylko, na jakim punkcie pan tego... Anglik powiada, że to mania liczenia. Węgier mówił, że pan tylko stale o muzyce... Inni, że pan ciągle, panie dzieju, o jarzynach albo o kwiatach. Taki niespełna jarosz! A wreszcie ta młoda Amerykanka odkryła, że pan jest po prostu całkiem nieprzyzwoity! Tfu w takim wieku, wstyd!..

Pan Myszka złapał się za głowę.

— A ja przecież tylko się wprawiałem.

— W czemże, panie dzieju?

— W językach obcych. Osiem samouczków pochłonąłem! Osiem języków znam na wylot! Tylko wprawy mi jeszcze brak....

Były dziedzic mruknął skonsternowany:

— Samouczki?... Osiem?! Hm, bardzo przykra historia!

— Ja ich przeproszę! — zawołał gorąco poczciwy pan Myszka.

— No, niech będzie — zgodził się z rezygnacją pan Żytosiejski.

Pan Myszka wsunął się za nim nieśmiało do salonu.

Najpierw podszedł do Amerykanki, z którą mówił o karmieniu dziecka.

— Ja przepraszam kobietę! — rzekł ze skruchą. — Ale doprawdy, wskutek tego, owszem..

Nagle machnął ręką i głośno, odważnie wyrecytował po angielsku:

— Chciałbym był powiedzieć, że starego latarnika trafił zygzakowaty piorun w lewą stronę brązowej wątroby, która jest większa od nerki!

To powiedziawszy, ukłonił się i wyszedł.

A wieczorem wyprowadził się z tego pensjonatu. Rzeczy, oczywiście, zabrał. Tylko samouczki spalił. W piecu spalił. I jeden gorący, czerwony język ognia — strawił osiem języków!..

Ja współczuję panu Myszce. Ty mu też współczujesz. On się rozczarował. My skończyliśmy czytać tę humoreskę.

Karol Kowalski

JÓZEF SWATOŃ

Święto muzyki polskiej

Miasto Kraków, nie odstępując od tradycji przedwojennych, urządziło w dniach od 23 do 29 czerwca br. **Święto Muzyki Polskiej,** przy silnym poparciu i inicjatywie Państwowej Filharmonii w Krakowie pod dyrekcją prof. Jana Maklakiewicza.

Z ciekawszych imprez trzeba wymienić **„Święto Pieśni"**, które odbyło się na dziedzińcu Biblioteki U. J. Były to występy chórów szkół powszechnych, średnich, liceów i chórów, złożonych z osób dorosłych, jak: Chór Lutnia Robotnicza (Kraków), Chór góralski (Waksmund), Chór Z. Z. K. „Hejnał" (Kraków), Chór Nauczycielski „Akord" (Kraków), Krakowskie Towarzystwo Śpiewacze „Echo" i dwie kapele góralskie z Cyrla i Czarnego Dunajca. W programie były pieśni ludowe i artystyczne Moniuszki, Lachmana, Noskowskiego, Kazury, Prosnaka, Nowowiejskiego, Walewskiego, Życzkowskiego, Czecha, Obuchowicza, Zajca i Pfeifferówny. Dyrygowali: Konior Fr., Popiel H., Pfeiffer J., Gątkiewicz J., Papież J., Wilga J. i A. Kopyciński.

Na tymże dziedzińcu odbył się też wieczór muzyczny pod nazwą **„Polska Pieśń Ludowa"**. Wykonawcami byli: Chór Nauczycielski, „Akord", Zespół Wokalny (kwintet), Zespół Instrumentalny (kwintet dętych instrumentów) i Kwintet Smyczkowy Państwowej Filharmonii. Dyrygowali: J. Pfeiffer i St. Skrowaczewski. Wykonano utwory Nowowiejskiego, Szeligowskiego, Panufnika i Pfeifferówny.

Obydwa wieczory wypadły pomyślnie i zaakcentowały mocno umiłowanie pieśni ludowej, polskiej przez wykonawców i słuchaczy.

Na Wawelu po tak długiej, tyluletniej przerwie odbyły się trzy wielkie koncerty symfoniczne pod hasłem „Muzyka Polska na Wawelu". Dyrygowali: Walerian Bierdiajew (Kraków), Zdzisław Górzyński (Łódź) i dr Zygmunt Latoszewski (Poznań). Solistami byli: Ada Sari (śpiew), Tadeusz Wroński (skrzypce), Wacław Niemczyk (skrzypce), Henryk Sztompka (fortepian) i Franciszek Bedlewicz (śpiew). W prorgramie znalazły się kompozycje Moniuszki, Perkowskiego, Palestra, Szymanowskiego, Maklakiewicza, Kurpińskiego, Marka, Różyckiego, Karłowicza i Paderewskiego.

Z najnowszych i ciekawszych kompozycyj były wykonane trzy wokalizy: wschodnia, smutna i radosna w układzie J. Maklakiewicza, specjalnie napisane dla śpiewaczki koloraturowej Ady Sari. Bardzo wartościowo przedstawiają się koncerty skrzypcowe P. Perkowskiego i J. Maklakiewicza, Cz. Marka symfonia i Z. Różyckiego Scherzo symf. „Stańczyk". Nad wszystkim jednak górują zawsze „Harnasie" K. Szymanowskiego pełne artystycznego, kolorystycznego wyczucia naszych gór.

Orkiestra Państwowej Filharmonii wystąpiła w składzie 88 osób. Koncertmistrzem jest Wacław Niemczyk.

W związku ze „Świętem Muzyki Polskiej" Państwowa Filharmonia wydała ozdobne programy wraz z ciekawymi artykułami prof. J. Reissa, J. Waldorffa, J. Mycielskiego i dr J. Życzkowskiego (pięknie i krótko ujęty jest jego artykuł o „Pieśni Polskiej").

Pierwszy wzlot pieśni i muzyki polskiej na historycznych dziedzińcach gmachów krakowskich i Wawelu niechże doda bodźca i sił do następnych wzlotów, mocniejszych i okazalszych na terenie Krakowa oraz większych miast polskich.

Książki i wydawnictwa nadesłane

„Rzeczy ciekawe" — Miesięcznik popularno-naukowy. Pod red. Marii Suszyńskiej. Wydawca: Centralna Poradnia Samokształcenia przy L. I. O. i K. Lipiec 1946 r.

Tadeusz Kraszewski — Były i będą nasze. [illegible] Wydawnictwo Zachodnie, Poznań 1946, str. [illegible]

„Łużycom wolność", Wydawnictwo Zachodnie, Poznań 1946 r., str. 76.

B. Danielewski, J. Kolipiński, A. Rogalski — Niemcy rozgromione! Wydawnictwo Zachodnie, Poznań 1946 r., str. 328

Hasiński M., Ley D., Madeja J., Pieter J., Rybicki P. Skowron St., Zborowski J. — Elementy nauk pedagogicznych. Wydanie II. Biblioteka nauczyciela Nr. 1. Wydawnictwo Instytutu Pedagogicznego w Katowicach, str. [illegible]

Leon Kruczkowski — Człowiek i powszedniość. Biblioteczka Oświaty Robotniczej TUR Warszawa 1946 r. Stron 32.

Noe Grüss — Rok pracy Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej. Wyd.: Centralna Komisja Historyczna przy C. K. Żydów Polskich Nr. 22, Łódź 1946. Stron 61.

[illegible] Z współczesnych zagadnień ziem odzyskanych. Wydawnictwo Zachodnie, Poznań 1946, str. 134.

„Śląski Informator Przemysłowy" Nr. 6. Miesięcznik. Red. Nacz. Jadwiga Kimaczyńska. Wydawca: Wydział Przemysłowy Województwa Śląsko-Dąbrowskiego, Lipiec 1946.

„Przysposobienie Rolnicze" Nr 11—12 Dwutygodnik Młodzieży Wiejskiej i t. d. Piotr Banaczkowski. Wydawnictwo Ministerstwa Rolnictwa i Ref. Roln., Dep. Oświaty Rolniczej.

„Wiatr od morza" Nr. 6—7. Czasopismo, poświęcone Polskiej Kulturze Marynistycznej. Red. Nacz. Janusz Stępowski Wydawca: Spółdz. Wydawnicza „Czytelnik" Gdańsk—Gdynia, lipiec—sierpień 1946 r.

INSCENIZACJE, TANCE i PIOSENKI

TADEUSZ CZERNIOWSKI

HEJ DZIEWCZYNO BOSO CHODZISZ...

OSOBY:

HANIA

WICEK

Rzecz dzieje się w lecie.

(Wnętrze świetlicy wiejskiej. Wejście z głębi. Stół, kilka krzeseł. Szafa biblioteczna).

HANIA: *(lat 17—18, w skromnej sukienczynie, bosa, porządkuje książki, leżące na stole, układa je kolejno w szafie).*

WICEK: *(dryblas po dwudziestce, w jasnym garniturze, płóciennych półbucikach, zagląda przez okno z lewej. Na widok Hani kręci głową, poczym podśpiewuje)*.

Ej dziewczyno, boso chodzisz...
Na trzewiki nie zarobisz.

HANIA: *(odwróciła się w stronę Wicka, uśmiecha się, odśpiewuje bez namysłu):*

Pójdę bosa na porzyczki
I zarobię na trzewiczki.

WICEK: *(wskakuje przez okno, zbliża się ku Hani):* Dałabyś dziewucho pokój z porzyczkami. Gdzie je teraz z końcem lipca znajdziesz?

HANIA: Już ich nie ma? Trzeba zmienić tę piosenkę ...naprzykład: pójdę bosa pasać owce i zarobię na sznurowce.

WICEK: Gdzie tu jakie owce? Musiałabyś iść w góry.

HANIA: Czekajże. Może być inaczej. Przypuśćmy: pójdę plewić na bosaki i zarobię na drewniaki.

WICEK: Tak się to gada. Nielatwo o zarobek. Choćby na ciebie popatrzeć. Kędyżeś to buty zapodziała? W mieście zostawiła?

HANIA: Ktoby teraz latem buty nosił. A miasta mi nie wypominaj. Takie ono dobre jak i wieś.

WICEK: A czego cię nie ma w mieście tylko tutaj się szastasz?

HANIA: Mogę się przydać na wsi — to i jestem na wsi. Będę potrzebna w mieście — to się tam znajdę.

WICEK: Latawica z ciebie.

HANIA: Ostatnia złość mnie ogarnia, kiedy widzę, jak który ze wsi do miasta pójdzie i rady sobie dać nie może albo przyjdzie kto z miasta do wsi i w niczym się nie wyznaje. A cóż to? Tacy sami ludzie i na wsi i w mieście, a tak, jakby się nie znali. To się musi skończyć.

WICEK: Nam tu wiejskich nie potrzeba.

HANIA: Potrzeba i bardzo. Nie wiesz to sam, czego brak na wsi a co jest w mieście? A odwrotnie: i wy jesteście potrzebni miastu.

WICEK: Niby tak, wedle twoich słów, ludzie tylko uganialiby z miejsca na miejsce, zamiast spokojnie na swoim siedzieć.

HANIA: Wszystko w swoim czasie. W lecie łatwiej mi zarobić na wsi, to i zjechałam tutaj.

WICEK: Nie bardzo ci się poszczęściło. Na buty nie uzbierałaś, przodownicą nie zostałaś... A — widzisz... Wstyd ci teraz...

HANIA: *(markotnie).* Nie udało się. Moja wina.

WICEK: Józka cię zmogła. Obrotna z niej dziewczyna. Ona cię bardzo nie lubi.

HANIA: A ja ją lubię.

WICEK: Józka powiada, że takie niedolary jak ty, powinny wynieść się ze wsi.

HANIA: A ty? Myślisz tak samo?

WICEK: Żebyś wiedziała. Gdzie tobie do sierpa, już nie mówię do kosy... Józka naśmiewa się z ciebie, że ty nawet po ściernisku chodzić nie umiesz, tylko podskakujesz jak wróbel.

HANIA: Ma słuszność. Może jednak kiedyś się tego nauczę.

WICEK: A że też ty o nikim złego słowa nie powiesz... Tchórz z ciebie.

HANIA: Może to i tchórzostwo.

WICEK: Takaś niby zgodliwa, a to człowieka do wściekłości doprowadza.

HANIA: Nie jestem zgodliwa, ale co to za przyjemność wymyślać na innych?

WICEK: Jakże? A cóżby życie było warte, gdyby się kogo nie zwymyślało. Zawsze potem raźniej.

HANIA: Ja już jestem taka niemrawa.

WICEK: A cobyś powiedziała, gdyby cię nasza gmina usunęła ze wsi? Klęłabyś?

HANIA: Nie. Ale za co? Za co by mnie...

WICEK: Józka mówiła kiedyś, że cię trza od nas wypędzić. Że nie potrzebujemy przybłędy. *(patrząc na przygnębioną Hanię).* No — tak. Jakbyś mnie grzecznie poprosiła, możebym się wstawił za tobą...

HANIA: Nie umiem rozkazywać, ale nie umiem i prosić.

WICEK: Harda jesteś... Źle skończysz..

HANIA: Myślę, że ta hardość nie wyjdzie mi na dobre. Co tam...

WICEK: Może ci życie zbrzydło.

HANIA: *(oburzona).* No wiesz. — Życie, które Bogu jest na chwałę a ludziom na pożytek, życie miałoby mi zbrzydnąć? A niechby było najgorsze.. Byle nie w poniżeniu i upodleniu...

WICEK: A cóż ty nazywasz upodleniem? Kiedyż tybyś się upodliła?

HANIA: Gdybym moją czystość zaprzepaściła...

WICEK: Aha. Jakie mi szumne słowa. Toś ty dlatego odrzuciła starego Szymona? Czego ot on chciał od ciebie?

HANIA: Wiadomo czego.

WICEK: Stary kutwa... Musiał cierpieć, kiedy ci bogactwa obiecywał...

HANIA: Nie obiecywał żadnych bogactw.

WICEK: No toś mu się nie podobała.

HANIA: Widocznie.

WICEK: A jakby ci tak... Jakie morgi albo co z chudoby...

HANIA: Także bym odmówiła. Za stary.

WICEK: A z młodym?

HANIA: Bez błogosławieństwa bożego — nigdy.

WICEK: Tak się teraz stawiasz. Co będzie później?

HANIA: Chcesz, to się przekonać.

WICEK: A jak to było z Walkiem?

HANIA: Z Walkiem? Także nic nie wyszło.

WICEK: Nie podobał ci się...

HANIA: Owszem. Podobał.

WICEK: *(pokrywając wściekłość).* Więc dlaczego?

HANIA: Chciał... tak — na wiarę.

WICEK: A Felek?... Przecie chciał abyś wyszła za niego.

HANIA: Chciał ale mi do serca nie przypadł.

WICEK: Toś taka dumna...

HANIA: Skądże. Na każdą dziewczynę chłop leci. Ale nie każdą łatwo zmota.

WICEK: A jabym ciebie łatwo zmotał?

HANIA: Jak myślisz?

(chwilę patrzą na siebie uważnie. Wicek krzywi się lekko).

WICEK: Ale wyszłabyś za mnie?..

HANIA: Musiałabym cię poznać.

WICEK: Niczego nie ukrywam. Powiem ci wszystkie moje grzechy, a ty mi napewno je wybaczysz. Co do jednego.

HANIA: Mów.

WICEK: Więc... od czegóżby zacząć... Kochliwy jestem. Lubię po prawdzie na dziewuchy okiem rzucić, pogadać, zaczepić...

HANIA: To jeszcze nie grzech śmiertelny. Dalej.

WICEK: W karty gram musowo. Czasem cały zarobek puszczę za jedną noc.

HANIA: Ale nie zawsze. Można wytrzymać.

WICEK: Nagły jestem. Tak w gorącości, tobym kości przetrącił każdemu, co mi w drogę wlezie.

HANIA: Kto się łatwo złości, ten i łatwo o złości zapomina.

WICEK: Phiii. — Sędzia z ciebie, jak widzę niestraszny. Jakże tam moje inne łajdactwa... Wódę ciągnę. Z przyjemnością. Czasem się schleję, jak nieboskie stworzenie.

HANIA: Można od tego odwyknąć.

WICEK: Ale, ale... ja tak na siebie wygaduję, co mi ślina na język przyniesie, a ty? Powiedz o sobie. Wszystko zło, jakie tylko w tobie siedzi...

HANIA: Najpierw dokończ ty.

WICEK: Ano — dobra. — Upartym. Jak coś do głowy przybiorę — zdechł pies. Mogą sobie wszyscy pyski strzępić a ja nic.

HANIA. Nie mów tak brzydko.

WICEK: Prawda. Ty przecie nie lubisz, jak się powie po ludzku: pysk albo morda, za przeproszeniem

HANIA: Widzisz. Mimowoli a powiedziałeś: za przeproszeniem. Jeszcze lepiej uczyniłbyś, gdybyś nie używał takich paskudnych słów.

WICEK: Pewnie, że mogę powiedzieć, strzępią sobie ozory albo języki.

HANIA: A widzisz.

WICEK: A czy to grzech mówić po prostu?

HANIA: To nie jest po prostu, tylko ordynarnie.

WICEK: To znaczy: jestem ordynus?

HANIA: Możesz nim nie być.

WICEK: No — teraz ty się przyznawaj do swych błędów. Bo ja już więcej grzechów nie pamiętam.

HANIA: Nie naśmiewałeś się z nikogo?

WICEK: Ho, no... Ile razy. Ale to nie grzech.

HANIA: Zależy z kogo i w jaki sposób.

WICEK: Choćby z ciebie. Razem z Józką naśmialiśmy się z ciebie, jakeśmy widzieli, że po ściernisku nie umiesz przejść na bosaka.

HANIA: *(Zmarszczyła na sekundę brwi ale rozjaśnia się natychmiast).* No — z tego można się śmiać.



WICEK: Kiedyś Władek zalał się w pestkę i w błoto rymnął. Utytłał się, jak wieprz. Tośmy ryczeli ze śmiechu przez godzinę.

HANIA: Mogliście mu pomóc, ale wobec pijaków lepiej nie mieć względów.

WICEK: Więc widzisz, że w tym obrazy niczyjej nie ma. A ludzie tak o byle co nosem kręcą. Kiedyś spotykam tę garbatą Zośkę, wołam na nią: jeszcześ swego garbu nie sprzedała? A ona patrzy na mnie, jak na zbója...

HANIA: *(zaciska pięści).* Czy ty — prawdę mówisz?

WICEK: A pocóż miałbym kłamać?

HANIA: *(ne panując nad wzburzeniem).* Wyśmiewałeś się z kaleki? I jeszcze mówisz o tym tak spokojnie.

WICEK: Wszyscy to robią. To dla niej chleb codzienny. Moja to wina, że ma garb taki duży? *(Hania odwraca się od Wicka).* No — cóż ty? Nie słuchasz? *(podchodzi ku niej).* Haniu... Odmieniło cię, czy jak? A to co? Przecie ty beczysz...

HANIA: *(wybuchając płaczem).* Wcale nie...

WICEK: Na dodatek kłamiesz. Bo przecie ryczysz. O co ci idzie? Słuchajże... Może o to, że inne mają buty a ty bosa... Alеż ja wolę ciebie bosą, niż inne w trzewikach...

HANIA: *(opanowała łkanie, sucho).* Między nami skończone. *(gwałtownie).* Rozumiesz? Skończone. *(zrywa się i chce wybiec z świetlicy).*

WICEK: *(zastępuje jej drogę).* A to co? Haniu? Nie puszczę cię... O coś się rozeźliła.

HANIA: Z kaleki się wyśmiewasz? Taki z ciebie łotr... Puść mnie.

WICEK: *(trzymając silnie Hanię za ręce).* Wariatka z ciebie, czy co? Ja to jeden podrwiwam z tej Zośki?

HANIA: Niech sobie inni, co tam... ale ty... jak się ważyłeś... *(nagle spokojnie).* I ty myślisz, że oddałabym rękę swoją człowiekowi, który nie umie uszanować czyjegoś nieszczęścia?

WICEK: Co ma jedno do drugiego? — Brak ci chyba piątej klepki...

HANIA: A jakbyś miał dziecko... córeczkę... garbatą... I ktoś zacząłby się wyśmiewać...

WICEK: Tobym mu pyski ponabijał.

HANIA: Tylko tyle zrobiłbyś. Bo i nie mógłbyś więcej. Och, jakiś ty wstrętny. Tego się po tobie nie spodziewałam...

WICEK: Jak słowo daję, można cierpliwość stracić.

HANIA: *(chcąc się wyrwać z rąk Wicka).* Puść mnie! Puść!

WICEK: Porzucisz mnie? Dlatego, żem kpił ze Zośki? Przysięgnij, że nie z innego powodu.

HANIA: Ten wystarczy aż nadto.

WICEK: Nigdy nie myślałaś o mnie... widzę to..

HANIA: Chcesz wiedzieć? Myślałam... marzyłam abyśmy razem... ale teraz...

WICEK: *(w przypływie szalonej radości chwyta Hanię, niesie ją na rękach, przytula ją do siebie)* Haniu... Haniu... Wysłuchaj... Ta dla mnie najpiękniejszy dzień w życiu...

HANIA: *(zdumiona, ale energiczna).* Cóż ty znowu? Puść mnie.

WICEK: *(siada na stole, nie wypuszczając Hani z objęć).* Zełgałem. O tej garbatej, biednej Zośce. Zełgałem. Żebym tak jutra nie doczekał.

HANIA: Ale po co? Powiedz Wicku, po co?

WICEK: Chciałem cię wypróbować. Bo to tak... Ledwo pokazałaś się tu u nas. Ja już, jak tylko cię zobaczyłem, pomyślałem: oho. No i pokazało się, że dobrze pomyślałem, bo ciągiem tylko o tobie... myślę, marzę.. Jakem ciebie nie widział, to mi wszystko brzydło. A jakem cię widział, to wszystko takie dokoła jasne... Ale myślę: zaraz. Co w niej jest...? Nie znam jej dokładnie... U nas mało kto co wie o niej... Poszedłem raz do Szymona... To nasz stary przyjaciel. Mówię mu, że owszem chciałbym z tobą, ale muszę się upewnić coś ty za jedna. Ano — mówi Szymon — nic złego o niej nie słyszałem, ale to trzeba sprawdzić.

HANIA: *(z udanym oburzeniem).* Nie wstyd ci?

WICEK: Żebyś wiedziała, że nie. Więc Szymon gada: Musisz wynaleźć kolegów zaufanych, którzy zaczną się koło niej kręcić. Jeden ją będzie namawiał, aby z nim... bez ślubu... A musi się jej podobać. Drugi — może być nieważny. Niech tylko groszem zabrzęczy. Odpali jednego i drugiego, wtedy ja się koło niej zakrzątnę. Że to powiada, stary jestem a bogaty. To niby niedługo na tamten świat mogę pójść, a młoda wdowa w majętnościach zostanie. No i tak się stało. Namówiłem Walka i Felka. Kręcili się koło ciebie. Nic nie wykręcili, tyle że sobie łby tobą ponabijali. Ale to porządne chłopaki. Powiedzieli mi o tym. A teraz na weselu to nam będą drużbowali.

HANIA: Oho... odrazu na wesele... Myślisz, że ja...

WICEK: *(zamyka jej usta pocałunkiem, poczym prawi)* więc stary Szymon posunął do ciebie w koperczaki. A tyś go spławiła. Aż stary do mnie: no wiesz. Dziewucha ma charakter. A jakże. To, powiada, dobrze. Jeszcze tylko przekonać się trza, jakie ma serce. Czy wobec biedoty miękka. Nie w tym rzecz, powiada, że jakiego żebraka wesprze datkiem, bo to każdy może zrobić. Ale czy w ogóle na niedolę ludzką czuła. Ano myślał, myślał aż i wymyślił. Powiada do mnie: oskarż się ty przed swoją Hanią, że jesteś pusty, zły i okrutny. Że z kaleki szydzisz. Jeżeli ci w gębę napluje, dobry to znak. A jakby było jej to obojętne, albo co gorsza, do wtóru z tobą drwiłaby z cudzego nieszczęścia, wtedy ty pluń w jej stronę. Haniu! Haniu! Jak mogłaś uwierzyć, że ja z kaleki natrząsałbym się, jak ostateczny drań? Piję — owszem. Łupię w karty — owszem. Nagły jestem, uparty... wszystko to prawda. Ale przy tobie Haniu... zobaczysz, jak się poprawię.

HANIA: Wicku... Wygarnąłeś wszystko o sobie... Teraz ja powiem, co we mnie... Jestem uparta a niewytrzymała, wyprawy żadnej ani posagu nie mam, przewrócone mam w głowie, a nie mam z czego...

WICEK: Nie umiesz żąć... nie umiesz chodzić boso... Wiem, wiem. Ale o nikim złego słowa nie powiedziałaś... Ach ty Haniu, Hanisiu... Patrzysz tak na mnie i pewno myślisz: a to mi sprawiedliwość... Ja jestem bosa, w taniej sukience a ten drab rozwala się w białym letnim odzieniu. Bo widzisz Haniu, ja ten garnitur sprawiłem sobie przedd pół rokiem. A wtedy jeszcze ciebie nie znałem. Znamy się doniero nie całe pięć miesięcy. Ale znamy się dokładnie. Chociaż zwykły kowal ze mnie, zobaczysz, że nam będzie razem niezgorzej. Zaczniemy od tego, że sprzedam ten garnitur i sprawię ci ładną sukienkę i koniecznie trzewiki.

HANIA: *(groźnie).* Ani mi się waż! *(Z uśmiechem).* A wiesz dlaczego? Bo ci w tym garniturze do twarzy. Teraz pozwól, że jako bibliotekarka świetlicowa doprowadzę swoją pracę do końca. *(Zbiera pozostałe książki ze stołu i wkłada je do szafy).*

WICEK: *(skoro Hania włożyła ostatnią książkę do szafy, przytula Hanię do siebie i podśpiewuje):*

Ej dziewczyno, boso chodzisz,
Moje życie przyozdobisz.

HANIA: *(przytulając się do Wicka, odśpiewuje):*

Pójdę bosa, wskaż mi drogę,
Bo bez ciebie żyć nie mogę.

KONIEC

BOGDAN BRZEZIŃSKI

ANTOŚ-MĄDRALA

Wesoły obrazek sceniczny w 1 odsłonie

OSOBY:

STARY MARCIN MARUDA, gospodarz.

KATARZYNA, jego żona.

JAGUSIA, ich córka, ładna młoda dziewczyna.

ANTOŚ, chłopiec z tej samej wsi, zakochany w Jagusi.

WAŁEK, jego rywal, obieżyświat.

PROFESOR SKIERSKI, mieszkający na letnisku w sąsiedniej chałupie.

SĄSIEDZI I SĄSIADKI.

(Scena przedstawia dostatnią izbę wiejską w chacie Marudów. Z boku na stołku stoi aparat radiowy. Dwoje drzwi: lewe prowadzą z dworu, prawe — do drugiej izby. Stary Maruda siedzi za stołem z Jagusią. Dziewczyna zajęta jest szyciem. Stary pali fajkę. Rzecz dzieje się współcześnie, we wsi podkrakowskiej).

MARUDA: — I co ty dziewczyno masz przeciwko temu Wałkowi, że go tak nie lubisz, jak powiadasz?

JAGUSIA: — Bo mu źle z oczu patrzy.

MARUDA: — A Antkowi to pewnikiem dobrze z oczu patrzy?

JAGUSIA: — Jakby ojciec wiedział!

MARUDA: — Ej, dziewczyno, dziewczyno, tobie się zdaje, że cały człowiek siedzi w oczach! A widzisz — człowieka poznaje się nie po oczach, ale po tym, czy tu *(klepie się w czoło)* ma dobrze! Ot, co! A twój Antoś — ladaco. Wiatr mu po głowie hula. A Wałek — ooo!

JAGUSIA *(przedrzeźniając)*: — Ooo!.. Strasznie mi mądry chłop! Że trochę pieniędzy i różnych tam gratów nie wiadomo skąd ściągnął!..

MARUDA *(zniecierpliwiony)*: — A właśnie wiadomo, skąd! Z tych naszych Odzyskanych Ziem przywiózł!

JAGUSIA: — Nic tam nie stracił, to nie miał co odzyskiwać...

MARUDA: — Ale zarobił uczciwą pracą. Sam przecie powiada, że ciężko pracował.

JAGUSIA *(wzruszając ramionami)*: — Po mojemu, to naszabrował... Wałek — i pracał Głupi by uwierzył!

MARUDA *(zaperzony)*: — Jakto — głupi? To ty staremu ojcu kłamstwo zadajesz?

JAGUSIA: — Niech się tatulo nie gniewa, ale przecie tatulo z Wałkiem tam nie był. A co on powiada, he!...

MARUDA *(po chwili milczenia)*: — Tak powiadasz? A widzisz — Wałka nazywasz szabrownikiem, a on tymczasem nic nikomu nie ukradł... A Antek...

JAGUSIA *(podnosi szybko głowę, gotowa do sprzeczki)*: — A co Antek, co Antek? Ukradł co komu?

MARUDA *(drapiąc się w głowę)*: — Nijakiego dowodu nie ma... Za rękę niby nikt go nie złapał... Ale co mój złoty zegarek znikł, to znikł!

JAGUSIA: — Dlaczego podejrzewacie Antka?

MARUDA: — A bo przyszedł akuratnie, kiedy nikogo w chałupie nie było... A potem zaraz spostrzegłem, że mój zegarek nóg dostał i wyszedł!... Jak sobie o tym przypomnę, aż mi się płakać chce! Taki fajny zegarek! W 42-im roku dałem za niego niekolczykowanego wieprza, 90 kilo żywej wagi!

JAGUSIA: — Trzeba było lepiej schować. Żal mi, tatulu, waszego zegarka, ale muszę jedno powiedzieć —

MARUDA: — Że niby co?

JAGUSIA: — Że Antek był tu tylko raz jeden, kiedy akuratnie nas nie było, a Walek, to chyba z piętnaście razy! O — tyle chciałam powiedzieć!

MARUDA: — W Imię Ojca i Syna!... Dziewczyno, czy ci ten upał na głowę zaszkodził? Walek, taki bogaty, i miał by kraść zegarek? On ma takich zegarków na mendle!

JAGUSIA. — Nie widziałam u niego ani jednego. Tylko opowiada, że ma różne różności schowane u jednego znajomego na Śląsku. A tutaj ściągnął tylko trochę łachów. Ale zresztą — co mi tam! Nic mnie on nie obchodzi.

MARUDA *(markotnie)*: — A szkoda, że cię nic nie obchodzi... Walek, to porządny człowiek. I głowę ma na karku!

JAGUSIA *(niechętnie)*: — Obieżyświat!

MARUDA: — A twój Antoś-Mądrala, to — —

KATARZYNA *(wchodząc)*: — Uff, zmęczyłam się! Taki upał!

MARUDA: — No i co z Warzechową?

KATARZYNA: — Lepiej. Poczciwy profesor doktora z miasteczka sprowadził i doktór zaraz jakiś tam zastrzyk zrobił. Teraz Warzechowa śpi. Doktór powiada, że gdyby go jutro do Warzechowej przywieźli, to było by za późno. A tak, to — powiada — uratuje!

JAGUSIA: — Bogu dzięki!

MARUDA: — Ten profesor, to zacności człowiek. Powiadają, że te ludzie z miasta, to nic dobrego. A tu taki człowiek uczony i patrzcie, jakie serce okazał biednej kobiecie!

KATARZYNA: — Pan Bóg go za to nagrodzi.

JAGUSIA: — No pewnie.

MARUDA: — A nie mówił profesor, kiedy do nas przyjdzie? Miał to radyjo do reszty naprawić... Człowiek się tak przyzwyczaił, że teraz ckni się bez radyja!

KATARZYNA: — Powiedział, że zaraz przyjdzie, tylko się trochę oczyści po drodze, bo okrutny proch dzisiaj na szosie. Jak odchodziłam, to rozmawiał akuratnie z Antosiem.

JAGUSIA *(skwapliwie)*: — Z Antosiem? I o czymże mówili?

MARUDA *(burkliwie)*: — Ważne rzeczy, o czym z tym mądralą gadał!

KATARZYNA: — Dobrze, to ja nie słyszałam. Ale zdaje mi się, że cosik o tej bombie...

MARUDA: — O jakiej bombie?

KATARZYNA: — O atomowej, czy jakoś tam...

MARUDA: — Że też profesorowi chce się gadać z takim głuptakiem!

JAGUSIA: — Antoś wcale nie jest głuptak! On dużo czyta. I gazety i takie — o! — grube książki... *(pokazuje palcami, jak grube książki czyta Antoś)*

MARUDA *(przekornie)*: — Mądry pisze dla zabawy, głupi czyta, bo ciekawy!...

WALEK *(otwierając gwałtownie drzwi)*: — Dzieńdoberek! Szanowanko! O, i panna Jagusia jest? Kłaniam uniżenie!

MARUDA *(półgłosem do Jagusi)*: — Widzisz, jak on aligancko mówi! Widać, że obyty człowiek!

JAGUSIA *(również półgłosem)*: — Obieżyświat!

WALEK: — Panna Jagusia codziennie piękniejsza! Jak pragnę szczęścia na loterii!

JAGUSIA *(nadąsana)*: — Wcale mi nie zależy na tym, żeby się panu Walkowi podobać...

WALEK: — Ee, to tylko tak się mówi. Każda kobita lubi, kiedy się podoba!

KATARZYNA: — A pan Walek, to by tylko dziewczynom w głowie zawracał.

WALEK: — Taki już jestem! Aligancki kawaler jestem! *(wyjmuje papierośnicę, podaje Marudzie)*: — Zapali pan Marcin? Prawdziwe amerykańskie, prima sort!

MARUDA *(z życzliwym uśmiechem)*: — Ja ta niby zawsze fajkę... Ale spróbuję, co to za rarytas.

WALEK: — A ja teraz tylko amerykańskie palę. Drogie, bo drogie, ale pirsza klasa! Taki już jestem! U mnie zawsze — grunt to szyk i aligancja! Z pieniądzami się nie liczę!

MARUDA *(do Jagusi, półgłosem)*: — A widzisz? Mówiłem ci...

JAGUSIA *(wzrusza ramionami)*.

PAROBEK *(wchodząc)*. — Gospodarzu, a obaczcie-no to skaleczenie gniadego.

MARUDA *(żywo)*: — A jak tam — goi się?

PAROBEK: — Galancie! Tylko nie wiem, czy mu jeszcze posmarować tą maścią.

MARUDA: — Już idę, Ignaś, już idę! *(ogląda się za czapką)* A wy tu sobie pogadajcie. Młodzi mają zawsze dużo do pogadania.

JAGUSIA: — Ja tam nie mam żadnego interesu do pana Walka.

WALEK: — A ja mam do panny Jagusi, względem tej zabawy, co będzie w sobotę.

MARUDA *(wychodzi, zaciągając się papierosem, krztusząc się komicznie, oglądając wciąż papierosa i kręcąc głową)*.

KATARZYNA: — A ja pójdę kurkom posypać! *(wychodzi)*.

WALEK: — No i jakże będzie, panno Jagusiu, pójdzie panu na zabawę?

JAGUSIA: — Nie mam ochoty.

WALEK: — Ee, bo to prawda! *(po chwili)*: — Jakby Antek poprosił, to by panna Jagusia poszła...

JAGUSIA *(butnie)*: — A może bym poszła! Co panu Walkowi do tego?

WALEK *(uśmiechając się ironicznie)*: — Bo mnie to dziwne, że panna Jagusia chce się z takim zadawać...

JAGUSIA *(zaczepnie)*: — Niby z jakim?

WALEK: — Różnie o nim we wsi powiadają... A przepraszam — czy tatulowy zegarek się znalazł?

JAGUSIA *(zmieszana)*: — Jeszcze nie. Pewnie całkiem przepadł.

WALEK: — Hm, ciekawe, za co też Antek popija w Jagódkowicach...

JAGUSIA: — On prawie nie pije!

WALEK: — Prawie... Ale jak czasem sobie wypije, to potem na czworakach wraca. Byli tacy, co go widzieli. Zresztą *(z udanym współczuciem)* pewnie on tak ze zmartwienia pije...

JAGUSIA: — Ze zmartwienia?

WALEK: — Tak. Że go Walendzianka nie chce. Ciągle do niej wzdycha i wzdycha, ale ona nie chce na niego patrzeć. Bo kto by tam chciał takiego tam Antka-Mądralę! Tylko jedna pana Jagusia przez współczucie troszkę mu sprzyja... Bo inne, to nawet spojrzeć na niego nie chcą! A szczególnie ta Walendzianka...

JAGUSIA *(drżącym głosem)*: — Ta z Jagódkowic? Taka ruda?

WALEK: — Ruda, nie ruda. Ale ładna dziewczyna. Nie można powiedzieć!

JAGUSIA: — Wiewiórka!

WALEK: — Widać Antoś lubi wiewiórki... *(po chwili)*: — No i jak będzie, panno Jagusiu? Pójdziemy na tę zabawę?

JAGUSIA *(z wahaniem)*: — Czy ja wiem?... Jeszcze się namyślę...

WALEK: — Dobra nasza! Widzę, że panna Jagusia się namyśli i wykażemy się za wszystkie czasy! *(podśpiewuje)*: Hop dziś, dziś, mazureczek!

PROFESOR *(wchodzi)*: — Nie przeszkadzam?

JAGUSIA *(zmieszana)*: — Nie, skądże, panie profesorze?

PROFESOR: — Pan Walek, widzę, w dobrym humorze

WALEK: — Bo panna Jagusia obiecała pójść ze mną na zabawę!

JAGUSIA: — Nic jeszcze nie obiecałam...

WALEK: — Jak piękna panienka powiada, że się namyśli, to znaczy, że się zgadza! Ha, ha, ja się znam na kobitach, taki już jestem!

PROFESOR *(wyjmuje z teczki jakieś metalowe przedmioty)*: — Zaraz to wmontujemy i radio będzie grało jeszcze piękniej, niż przed tym. *(do Jagusi)*: — Ojczulka nie ma?

JAGUSIA: — Jest w stajni, gniademu robi opatrunek.

PROFESOR: — O, a co się biednemu konikowi stało?

JAGUSIA: Pokopał się z siwym. Ale to nic groźnego. Trochę się okale-

czył i noga mu spuchła. Ale to przejdzie.

PROFESOR: — Biedny konik!

JAGUSIA: — Pan profesor to dla wszystkich życzliwy. Bóg zapłać panu profesorowi, że się pan zajął Warzechową. To kuma matuli.

PROFESOR *(manipuluje przy aparacie radiowym)*: — Dobrym ludziom zawsze powinno się pomagać. To nasz obowiązek.

JAGUSIA: — A złym?

PROFESOR *(rzucając szybkie spojrzenie na Walka)*: — Złych trzeba karać, żeby w przyszłości nie szkodzili dobrym!

WALEK: — To ja już chyba pójdę. Więc w sobotę idziemy, panno Jagusiu! Będzie zabawa prima sort! Szyk i aligancja!

PROFESOR: — Niech pan zostanie jeszcze chwilę. Zaraz naprawię radio. Posłuchajmy, czy dobrze gra.

WALEK: — Chwilę mogę zostać.

MARUDA *(wchodząc)*: — A, pan profesor! Dzień dobry panu profesorowi.

PROFESOR: — Dzień dobry, panie Marcinie. Zaraz doprowadzimy tę cudowną skrzyneczkę do porządku. Wyleczymy niemowę.

MARUDA: — Pan profesor wszystko potrafi! Zawsze to mówię.

KATARZYNA *(wchodzi)*: — Dzień dobry, panie profesorze! Pan to nawet nigdy porządnie nie odpocznie, tylko ciągiem coś dobrego dla ludzi robi.

PROFESOR: — Et, drobiazg, nie m o czym mówić.

ANTEK *(wchodzi)*: — Czy można?

MARUDA *(na stronie)*: — Teraz, to się pyta, czy można, a wtedy — —

ANTEK: — Niech będzie pochwalony!

KATARZYNA, PROFESOR, JAGUSIA: — Na wieki wieków!

MARUDA *(pod nosem*: — ...wieków! A czego to Antok chce?

ANTEK: Widziałem, że pan profesor do was idzie, zaraz się domyśliłem, że względem radia. Chciałem popatrzeć, jak się to naprawia.

MARUDA: Dużo się tam nauczysz z patrzenia! Tylko będziesz przeszkadzał profesorowi..

PROFESOR: — Ależ nie, nie, proszę bardzo. Niech pan Antoś podejdzie tu bliżej. O, proszę patrzeć — — *(obydwaj nachylają się nad aparatem, rozmawiając między sobą półgłosem).*

MARUDA: — Antek, nie wiesz, która godzina?

ANTEK: — Będzie koło południa...

MARUDA: — To i ja wiem. Ale tak dokładnie...

ANTEK: — Toć wiecie, że nie mam zegarka.

MARUDA: — A... nie masz!.. *(kiwa głową znacząco, Walek uśmiecha się ironicznie).*

JAGUSIA *(szeptem do ojca)*: — Dał by tatulo spokój!

MARUDA: — Nic, nic. Jak tylko tak sobie...

PROFESOR: — Teraz proszę o ciszę! Nastawiam. *(kręci manetkami, radio zaczyna skrzypieć, potem słychać głos)*

GŁOS Z RADIA: — Hallo, hallo, tu Radio Kraków. Rozpoczynamy koncert pieśni ludowych w wykonaniu chóru. Na wstępie usłyszą państwo pieśń Szopskiego „Hej-że ino fijołeczku leśny".

MARUDA *(półgłosem)*: — Patrzcie! gra, jak złoto!

(Chór śpiewa, wszyscy słuchają, gdy pieśń się kończy, profesor wyłącza radio).

PROFESOR: — Wszystko w porządku!

MARUDA: — Bóg zapłać panu profesorowi! Ale też wprost wierzyć się człowiekowi nie chce, że tam w Krakowie sobie chłopy i dziewuchy śpiewają, a my tu, u nas na wsi słyszymy, jakby nie przymierzając w sąsiedniej izbie śpiewali! To ci wynalazek! Chyba większego nie ma!

SĄSIEDZI I SĄSIADKI *(wchodzą)*: — Niech będzie Pochwalony!

OBECNI: — Na wieki wieków!

STARY SĄSIAD: — Co to, już u was znowu radyjo gra, Marcinie?

MARUDA *(z dumą)*: — A gra! Galancie! Profesor zreperował. Poczekajta, zaraz sobie pogramy.

PROFESOR: — Chwileczkę, pozwólcie. Mówił pan, panie Marcinie, że większego wynalazku, niż radio, nie ma na świecie. Jest pan w błędzie. Są nowe, jeszcze większe wynalazki.

MARUDA: Chyba jeno ta bomba, co ją Amerykańcy na Japońców rzucili.

PROFESOR: — To też wielki wynalazek. Ale są także wynalazki niby drobne, ale tym niemniej zdumiewające i niezmiernie pożyteczne.

KATARZYNA: — Pożyteczne? To niby i w gospodarstwie przydatne?

PROFESOR *(z uśmiechem)*: — Wszędzie! Bo pozwalają poznać nawskroś naszych bliźnich.

MARUDA: — Że jak?

PROFESOR: — Słyszeliście już coś o „Uczciwościomierzu"?

JAGUSIA I KATARZYNA: — Uczciwo... jak?

PROFESOR: — „Uczciwościomierz". Ucz—ci—woś—cio—mierz! Mierzy uczciwość i prawdomówność ludzi. Niezwykły wynalazek!

MARUDA: — Czy to być może? Niech nam pan profesor coś o tym cudzie opowie!

KATARZYNA JAGUSIA, SĄSIEDZI: — Prosimy, niech pan opowie!

PROFESOR *(z uśmiechem)*: — Nawet mogę pokazać!

MARUDA: — Pokazać?... To niby pan profesor ma ten aparacik przy sobie?

PROFESOR: — Przypadkowo wziąłem go ze sobą... *(wyjmuje z teczki „Uczciwościomierz" i stawia na stole. Objaśnienie dla reżysera: „aparat ten można zrobić z dużej puszki od konserw. W puszce spory okrągły otwór z boku, zalepiony przeźroczystym czerwonym papierem. Pod puszkę podłożyć latarkę elektryczną. Gdy „aparat" działa — zapalić latarkę, wtedy ukaże się z boku puszki czerwone światełko, gdy nie „działa" — latarkę pozostawić w spokoju).*

MARUDA: — Bardzo niepozornie wygląda.

PROFESOR. — Ale wierzcie mi, panie Marcinie, że to fenomenalny aparat.

WALEK: — A na czym ten cały gips polega?

PROFESOR: — Gdy chcemy wiedzieć, czy ktoś mówi prawdę, zadajemy mu pytanie i kierujemy — o, to oczko na badanego. Gdy mówi rzeczywiście prawdę — aparat nie reaguje. A gdy kłamie — zaraz zapala się czerwone światełko. A za kłamstwo „Uczciwościomierz" potrafi ukarać!

JAGUSIA: — Ukarać?... Jak-że to?

PROFESOR. — Jeśli w ciągu jednej minuty badany nie odwoła swego kłamstwa, wówczas specjalne promienie, jakie ten aparat wysyła, paraliżują kompletnie kłamcę i na całe życie pozostaje bezwładny!

KATARZYNA: — Olaboga!

SĄSIEDZI: — Coś takiego! A dyć to niebezpieczny wynalazek!

MARUDA *(z ożywieniem)*: — Panie profesorze, może pan nam pokaże, jak ten dziwny aparat działa...

PROFESOR: — Bardzo chętnie! Z kim zrobimy doświadczenie?

MARUDA: — Hm... Antoś, nie gniewaj się, ale stań ino przed tym aparacikiem... Chcę ciebie o coś zapytać, bo mnie aż korci!...

JAGUSIA: — Ależ tatulu!...

ANTEK: — Proszę bardzo! Już stoję! *(staje w postawie na baczność przed aparatem)* Pytajcie!

MARUDA: — Tylko się nie obraź, Antoś!... Słuchaj-no, powiedz, czyś ty nie zwędził mojego złotego zegarka, co ja go w 42-gim za wieprzaka niekolczykowanego 90 kilo żywej wagi kupiłem?...

ANTEK *(pewnym głosem)*: — Nie zwędziłem! Jak Boga kocham!

JAGUSIA: — Tatulu, jak można tak!...

PROFESOR: — Aparat nie reaguje. Mówi prawdę!

MARUDA *(zawstydzony)*: — Bardzo cię przepraszam, Antoś, ja tylko tak...

ANTEK: — Nie gniewam się. Ale teraz zrobimy drugie doświadczenie, dobrze? Niech Walek stanie przed aparatem...

WALEK *(przestraszony)*: — Co?... Ja? Dlaczego? Co to za głupie żarty! Nie pozwolę i basta! Taki już jestem!...

MARUDA: — Niech pan Waluś stanie, to tylko tak dla żartu...

PROFESOR: — Doświadczenie po prostu.

ANTEK: — No właśnie!

WALEK: Co? Ja? Doświadczenie? Nie chcę! Nie chcę i już! Taki już jestem!

ANTEK: — Stawaj, do diaska! *(siłą pcha go do stołu)* Dobra! Stój prosto! A teraz pytam: Walek, czy ty przypadkiem nie ukradłeś zegarka Marcinowi?

WALEK: — Co? Ja?! Nie ukradłem! Jak pragnę szczęścia na loterii, nie ukradłem!

(Aparat reaguje — czerwone światełko się zapala)

JAGUSIA: — Zapaliło się!

SĄSIEDZI: — Kłamie!

ANTEK: — Ukradłeś!

WALEK: — Nie — o rety, czego wy chcecie ode mnie! — Nie ukradłem żadnego zegarka!

PROFESOR: — Prędzej, bo może być za późno! Niech pan mówi prawdę! Jeszcze tylko pozostało 10 sekund i — paraliż...

WALEK *(krzyczy)*: — O rety, paraliż! Puść mnie — ukradłem!!!

(światełko w aparacie gaśnie)

ANTEK: — Ukradł...

MARUDA: — A beskurcyja jedna!... Antoś, pszepraszam cię!

ANTEK: — Jeszcze jedno pytanie... Czy ty dlatego umizgasz się do Jagusi, ponieważ ją kochasz, czy też dlatego, że chcesz dostać jej posag?

WALEK *(ociera pot z czoła, Antek go trzyma)*: — Daj mi spokój! Pewnie, że ją kocham, co mi tam pieniądze, dość mam swoich! *(światełko zapala się w aparacie)*

ANTEK: — Znowu kłamie!

PROFESOR: — Jeszcze 50 sekund i może być nieszczęście...

WALEK: — A niech to wszyscy diabli! Więc tak — dla posagu się umizgałem!

(światełko gaśnie)

KATARZYNA: — A to galgan! Wynoś mi się w tej chwili z naszej chałupy, ty psiaduszo!

STARY SĄSIAD: — Na milicję go, złodzieja! Zegarek przecie ukradł!

MARUDA *(przyskakując do Walka)*: — Gdzie masz mój zegarek?

WALEK: — Nie mam, zgubiłem...

(światełko znów się zapala)

WALEK: — Nie, nie, nieprawda! Nie zgubiłem. Tu go mam... *(wydobywa zegarek z za pazuchy i podaje Marcinowi)*.

MARUDA: — Jest mój zegareczek kochany! Panie profesorze, to cudowny aparat!

STARY SĄSIAD: — Nie wyrywaj się, ptaszku, pójdziesz na Milicję!

MARUDA: — A niech go tam! Zegarek mam i poznaliśmy, co to za oczajdusza! Niech se idzie na złamanie karku!

(Antek puszcza Walka, ten ucieka z izby, gubiąc czapkę. Wszyscy się śmieją)

MARUDA *(wyciągając rękę do Antka)*: — Ale ty się chyba nie gniewasz na starego sąsiada? No, daj rękę na zgodę!

ANTEK: Co bym tam miał się gniewać... *(patrzy z miłością na Jagusię)*.

MARUDA *(uśmiechając się pod wąsem)*: — teraz to ci już nawet krzyw nie będę, że się do Jagusi zalecasz. Dobry jesteś chłopak. *(do profesora)*: Ale panie profesorze, kto też wynalazł ten cudowny aparacik, można wiedzieć?

PROFESOR *(z uśmiechem)*. — Antek!

MARUDA: — Jak to — Antek?...

PROFESOR: — No, myśmy po prostu obmyślili z panem Antonim taką komedyjkę, żeby wyszło na jaw, jaki to gagatek, ten Walek. Pan Antoś od dawna podejrzewał, że to on ukradł zegarek, a bolało go, że pan Marcin go podejrzewa o tęn brzydki postępek. No, a także chodziło mu o pannę Jagusię.. Więc wszystko sobie obmyślił z tym całym rzekomym wynalazkiem.. A chcecie wiedzieć, z czego się ten „cudowny aparat" składa? Proszę, oto — *(demonstruje)* — puszka od konserw i latarka elektryczna! I to wszystko!

WSZYSCY: — Oooooo!...

JAGUSIA: — Antosieczku mój, jaki ty mądry! *(rzuca się Antosiowi na szyję)*.

MARUDA *(kiwając głową)*: — No, teraz chyba nikt we wsi nie będzie nazywał mojego zięcia „Antoś-Mądrala", lecz: „Mądry Antoni"!

(K U R T Y N A)

JAN JERZY

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO WSI

Montaż sceniczno-literacki z wierszy Leopolda Staffa.

(Udział bierze siedem osób numerowanych od 1 do 7 licząc od lewej strony sceny, numery 1, 4 i 7 wykonują kobiety, numery 2, 3, 5 i 6 — mężczyźni. Wszystkie osoby przybrane w stroje regionalne polskie (krakowskie, śląskie, łowickie, sandomierskie, pomorskie, wielkopolskie itp.) Każda osoba trzyma jakiś emblemat pracy wiejskiej, a więc sierp, kosę, widły, przetak itp. Wszyscy stoją w jednym rzędzie ku przodowi sceny (estrady), deklamacja spokojna, wyrazista z ograniczeniem gestu do minimum — gest jedynie podkreśla i ilustruje słowo tam, gdzie jest samorzutnie potrzebny).

2. Byłeś wciąż przy mnie niegdyś przed tysiącem lat
1, 4, 7 *(razem)* A może tak się tylko memu sercu zdaje.
2. Byłem wtedy pasterzem białorunych stad,
Po roli pług wodziłem, który ziemię kraje,
Siałem w rozorę bruzdy oziminy, parce,
Pielęgnowałem z troską płodny, ciężki sad,
Chowałem pszczoły w ulach i z ciszą w pogwarce,
Zmierzchem, śpiewałem proste pieśni [illegible]
6. Odszedłeś precz ode mnie przed tysiącem lat
1, 4, 7 *(razem)*. A może tak się tylko memu sercu zdaje.
6. Bom sprzykrzył sobie lnianą prostotę swych szat
I jednostajne życia zgrzebnego zwyczaje
Przygód i niespodzianek, którym młodzian rad
I zapragnąłem zgiełku, który ciszę płoszy,
I chwały i bogactwa i bujnej rozkoszy
I władzy, co się dumnie nad słabszym panoszy
[illegible] Nie byłeś potem przy mnie długie tysiąc lat
[illegible] 4, 7 *(razem)*. A może tak się tylko memu sercu zdaje.
[illegible] Bom zbiegał z niepokojem wielki, dziwny świat,
Znajdowałem wciąż nowe drogi i rozstaje.
Byłem kupcem, co w sakwie grube zyski liczy,
Graczem, co rzuca kości i złoto jak grad,
Żołnierzem żądnym walki, sławy i zdobyczy
I właściem, co z sąsiady sporami graniczy.
[illegible] Wróciłeś znowu do mnie po tysiącu lat
[illegible] 4, 7 *(razem)*. I to się sercu memu już nietylko zdaje.
[illegible] Bo nie znalazłem szczęścia, lecz ciernie i jad
I wróciwszy z tęsknotą rzucony próg maję.
I znów spokojny jestem snując się po polu,
Bo czuję, żeś jest przy mnie, druh słodki i brat,
I chłonę, pojednawca radości i bólu,
Duszę twą z źdźbła pszenicy i kwiecia kąkolu.
2, 3, 5, 6 *(razem)*. Bronzowi jako ziemia, silni i spokojni,
Z bogobojną powagą dawnych apostołów,
Niegdyś siewcy łagodni, towarzysze wołów,
Dziś twardzi wojownicy, żelazem kos zbrojni,
W łan źrały się wrzynamy na sierpniowym skwarze.
1, 4, 7 *(razem)*. Tak pośród pól śpiewali kroczący żni-
[illegible]
2, 3, 5, 6 *(razem)*. Nie dla nadziei zbiorów znoimy dłoń
czynną,
Nie dla radości, by nam żyć dała weselnie.
Jeno, aby pracować, jak ziemia rzetelnie,
Jeno, że tak jest wiecznie i tak być powinno
W zbożnym łanie przyrody, co żmudzić się każe.

1, 4, 7 *(razem)*. Tak pośród pól śpiewali niezłomni żniwiarze.
2. Po przejściu kos,
6. Kiedy się zagon ostrym ścierniskiem najeży,
1, 4, 7 *(razem)* Niespracowane idziem choćby w ślady pracy
Bosemi stopy — i zbieramy kłos
Pominięty, bezpański, co ostał i leży,
Byśmy go, pokłośnice, podjęły lub płacy.
4. O Panie nasz!
1. Dzięki Ci, że gotujesz nam skromne wesele,
Nie zmuszając z litości pozbywać się chleba,
7. Że o nas, liche pokłośnice dbasz
Przez nieuwagę innych, co mają zbyt wiele,
1, 2, 7 *(razem)*. Że żyjesz z tego, czego nikomu nie trzeba.
4 Niesiem Ci dzięki,
Że nic nie mając, możem cenić, czego mało,
Kilka ziarn drobnych bardziej, niż perły naszyjne.
1, 7 *(razem)*. Z wdzięcznością dzierżym w dłoni kłosów pęk,
Najmniej biorąc, w pokłonach schodzimy cierń całą,
Pod niebem, co nas widzi odwieczne biblijne
3 Świerszcze, skrzypkowie polni,
W radosny dzwonią ton,
5. Bo przodownica kroczy z tłumnym żeńcem,
2. Z sierpem i złotym, pszenno-żytnim wieńcem...
4. Od trudów pracy wolni
Śpiewają:
Wszyscy razem. Niesiem plon!
2. Ciesz się, pługu, ciesz się, brono.
3. Coście darły ziemi łono
Pod siew w świeżych bruzd kolei.
5. Męka ziemi owoc wraca:
1, 7 *(razem)*. Z plonem do dom idzie pra[illegible]
4. By dank przyjąć od nadziei!
2. I leci
3. cep w górę
[illegible] i [illegible]
6. znów nieko
[illegible] I [illegible]
[illegible] z zamachem
[illegible] [illegible] po raz
[illegible] w klepisko!
[illegible] A z dołu do góry,
[illegible] a z góry do dołu,
[illegible] A mocno,
[illegible] a mocniej,
[illegible] 3, 5, 6 *(razem)*. [illegible]
A nie szczędź ramienia, a jeszcze, a jeszcze!
Aż proszą źdźbła słomy, aż lecą w krąg wiechcie!
3. Bij, cepie, bo z ruchu ochota się wiedzie!
Zapraszam do pracy, cny kmotrze-sąsiedzie!
Cóż stoisz daremnie za płota przełazem?
Do cepa!
[illegible] I młóćmy!
[illegible] A społem,
[illegible] a razem!
[illegible] Ty pierwszy,
[illegible] ja drugi,
[illegible] [illegible]
[illegible] [illegible]
Kto drugi, kto pierwszy, nie będzie odznaką,
2, 3, 5, 6 *(razem)*. Bo kiedy wspólnymi pracujem zawody,
Miarowy spad cepów w rytm łączy się zgody!
4. Wiecznie to samo jeszcze jak za czasów Piasta.
Po łokcie umączone ręce dzierżąc w dzieży,
Zakwasem zaczyniony chleb ugniata świeży,
Przejęta swym odwiecznym obrządkiem niewiasta.
1. Drogaś mojemu sercu, niska strzecho wiosko,
Uboga jak sukmana i jak chłop nieśmiała.
7 Wybudował cię mozół, zamieszkała troska
4. Twoich ścian opiekuńczych wapienna pobiała
Zdobna w barwne gromnice malw i słoneczników
Utula kłopot pracy i znużenie ciała
3. Jednostajna, jak chłopska dola i nawyki,
Zgarniasz pod swe okapy, jak pod skrzydła kwoka,
5. Narzędzia pracy: bronę, pług, grabie, motyki.
[illegible] I cóż mi trzeba?
2. Nade mną strop
Modrego nieba,
[illegible] Pode mną snop
Pszenicznych kop
O woni chleba...
3. Wśród skwarnej spieki
Gorący szum —
[illegible] Bliski?
[illegible] daleki? —
[illegible] Jak dzwonów tłum
W gędzeniu dum,
Jak brzęk pasieki...
2. Pode mną słoma,
Trzaska jak stos
Ogniami stoma...
6. Płonę jak kłos!
4. Wyzwala los...
Wszyscy razem. Duch w niebie — doma!..

KĄCIK SPORTOWY

Trening na bieżni

Trening na bieżni zależny jest od konkurencji. Każda z nich wymaga zasadniczo innego rodzaju ćwiczeń. Należy jednak przestrzegać ogólnych zasad, by uniknąć czy to naderwania mięśni, załamania psychicznego czy przetrenowania. Należy się w treningu kierować nie tyle ilością co jakością wykonywanej pracy. Wartość treningu nie jest zależna od długości trwania, ale od natężenia. Np. dla zawodnika, który jeszcze nie doszedł do formy, przebiegnięcie 200 m z największą szybkością okaże się prawie zawsze szkodliwe, podczas gdy przebiegnięcie tych samych 200 metrów 2—3 razy w tempie umiarkowanym będzie bezwzględnie korzystne. To samo przy rzutach, wykonanie np. rzutu oszczepem 3—4 razy z dołożeniem największego wysiłku może przynieść wybitną szkodę, natomiast 15 do 20 rzutów swobodnie na pół siły spełni swoje zadanie. Należy tak trenować, by nie czuć całkowitego wyczerpania po zaprawie, nie doprowadzać do poważnego zmęczenia mięśni, gdyż przecież nie na tym trening polega, lecz by mięśnie wzmocniły się i zdobywały odpowiednią elastyczność.

Trening nie powinien trwać dłużej, jak 50 do 60 minut. Przerwy wypoczynkowe następują w marszu pomiędzy jednym a drugim biegiem. Każdy trening należy poprzedzić lekkim rozgrzaniem się, które ma na celu wywołanie żywszego krążenia krwi, żywszej wymiany gazów, wprowadza dobry nastrój, chroni od naderwania ścięgien, włókien mięśniowych. Najlepiej przebiec w wolnym tempie jedno okrążenie ok. 400 m, wykonać szereg ćwiczeń gimnastycznych (ćwiczenia ramion, nóg, tułowia — na co można zużyć ok. 10 minut), dopiero po tym rozgrzaniu przystąpić do właściwego treningu swej konkurencji, jednak zawsze trzeba pamiętać o tym, że dwa pierwsze starty, rzuty skoki zawsze muszą być wykonanie miękko, swobodnie.

Z treningiem łączy się przetrenowanie, to jest przemęczenie psychiczne i fizyczne, spowodowane nieracjonalnie prowadzoną pracą. Charakterystyczne cechy przetrenowania — to brak zainteresowania treningiem, przygnębienie, niechęć do ćwiczeń, brak snu i apetytu, utrata na wadze zwiększenie częstości tętna, zwiększenie ciśnienia krwi oraz obniżenie wyników. Przetrenowanie jest zjawiskiem, występującym najczęściej u zawodników, nie prowadzących racjonalnego treningu, to jest trenujących nieregularnie, oraz nie prowadzących higienicznego trybu życia. Zawodnik przetrenowany staje się przykrym i opryskliwym dla otoczenia, dokuczliwy, o drobiazgi wszczynającym kłótnie, a w razie przegranej ma pretensje do sędziów, bieżni, do pogody, a nigdy do siebie. Najważniejsze przyczyny przetrenowania to: 1) kontynuowanie intensywnego treningu mimo zupełnego dojścia do formy i brania udziału w zbyt licznych zawodach, 2) niestosowanie odpowiednich przerw i odpoczynków, które są tak ważne jak trening Przy bardzo natężającej pracy, jaką jest trening lekkoatletyczny, gromadzą się w mięśniach ogromne ilości produktów zmęczenia, które nie usunięte w porę, nie pozwalają mięśniom na 100% sprawność. W takich okolicznościach zdarzają się najczęściej naderwania mięśni, ścięgien itp., 3) wszelkie zmartwienia, które mącą spokój psychiczny zawodnika, jak również trening podczas silnego zdenerwowania i intensywnej pracy umysłowej (np. egzaminy), 4) rozpoczynanie treningu za wczesne po przebytej chorobie infekcyjnej jak np. anginie, grypie. Jako jedyne lekarstwo na przetrenowanie, to całkowite przerwanie treningu swej specjalności. Natomiast zamiana ćwiczeń i środowisko, przejście do miłych gier towarzyskich, dłuższych wycieczek wpływa bardzo dodatnio na dojście do formy. W tym okresie kontakt z lekarzem sportowym jest bardziej konieczny niż kiedykolwiek. Po uzyskanej poprawie zawodnik powinien przystąpić do treningu dopiero, gdy nabierze ochoty do ćwiczeń

Organ Wolnej Domu Kultury w Krakowie Redaguje zespół Adres redakcji: Kraków, Dunajewskiego 1. [illegible]
[illegible]